ŁOWIEC POLSKI



Łosie. Z serji nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego" w 1937 r. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 25 (909) 1 WRZEŚNIA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Po polowaniu na kaczki.

PRZECIWKO LEKCEWAŻENIU PRAWA ŁOWIECKIEGO I ETYKI MYŚLIWSKIEJ

Gdybyśmy chcieli korzystać skrupulatnie z codziennej kroniki życia myśliwskiego, notując to wszystko, na co patrzą oczy uczestników polowań grupowych czy zbiorowych, toby nie starczyło szpalt żadnego pisma łowieckiego dla zanotowania i wytknięcia zdarzających się na porządku dziennym przypadków lekceważenia przez polujących prawa łowieckiego i etyki myśliwskiej.

To też temat ten poruszany jest od czasu do czasu— przy okazji poważniejszych głośnych przewinień — albo ukazuje się sporadycznie jakiś artykuł, lub nawet rozdział większej pracy piśmienniczej, podający wskazania zasadnicze, „a-b-c" zachowania się myśliwego i t. d.

Wszyscy, którzy to czytają, kiwają ze zrozumieniem i potakiwaniem głowami, ale mało kto ośmiela się wobec faktów życia protestować otwarcie i głośno w wypadkach, gdy ktoś z naszego grona, z pośród towarzyszy polowań, nie zachowuje się odpowiednio, co gorsza, gdy znalazł się w terenie—strzela wszędzie i do wszystkiego, często nie mając do tego prawa (uprawnienia), albo strzela bezmyślnie i do takiej „Zwierzyny", której nie podnosi, a jeśli podniósł dla policzenia jednej sztuki więcej, już po zakończeniu polowania porzuca swą zdobycz, gdyż jest „niejadalna" (często w jego tylko przekonaniu), a na wypchanie okazu nie chce wydać pieniędzy, żeby np. zasilić jakiś zbiór zoologiczny szkolny, albo — nie chce nawet ponieść kłopotu przesłania danego okazu z opisem miejsca zabicia do Państwowego Muzeum Zoologicznego *).

Ileż tego rodzaju i poważniejszych nawet przewinień pokryte zostaje milczeniem. Wstyd powiedzieć, ale przynajmniej na 50% polowań, na jakich bywałem w życiu, coś takiego się dzieje.

Skąd przyszło mi, aby dziś znowu w „akademickim" artykule temat ten poruszać. Oto już znowu w bieżącym sezonie doszły mej świadomości dwa fakty, oba typowe, charakterystyczne. Że dzieją się ich tysiące — wiemy wszyscy.

Ponieważ mówi się już dziś o blisko 30% zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim myśliwych, uważam, że jest to chwila odpowiedniejsza od innych, aby powyższe kwestje znów na stół wyłożyć, aby przypomnieć i w tym kierunku moralny obowiązek myśliwego z P. Z. Ł. stania na straży prawa i etyki myśliwskiej wobec współtowarzyszy polowań, no i... wobec siebie samych.

Ale wymieńmy te charakterystyczne fakty, powiedzmy poprostu — gorszące przewinienia!

Ktoś otrzymuje pozwolenie na zapolowanie w cudzem łowisku — dajmy na to na kaczki. Udaje się tam sam czy z towarzyszem, poluje bez niczyjej kontroli (gospodarza lub jego administracji). I oto wyjeżdżając, uwozi z sobą, prócz troczków peł-

*) Państwowe Muzeum Zoologiczne chętnie przyjmuje tego rodzaju przesyłki, zwłaszcza po zniszczeniu przez pożar przed paru laty dużej ilości posiadanych okazów (przyp. aut.).

nych kaczek... rogacza, którego spotkał przypadkowo.

Ktoś inny posiadający własne łowisko, sam lub przez ręce osoby trzeciej, „otwiera" polowanie „na swój własny stół" np. 25 sierpnia na kuropatwy, lub 12-go października na zające i t. p.



Lelek kozodój. Fot. A. Wiśniewski.

Ktoś trzeci z całą świadomością przekracza granicę własnego terenu, powiedzmy „tylko o 50 kroków", gdyż właśnie tam zapadło liczne stadko kuropatw — strzelił do nich, zabił, podniósł i zaraz już wraca do siebie...

To są charakterystyczne przewinienia, powtarzające się rokrocznie niezliczoną ilość razy.

A pozatem najbanalniejszem, całkiem jawnie uprawianem jest strzelanie „do wszystkiego" — w sezonie dozwolonym, a jakże!

A więc np. jedzie szereg łódek po rzece, lub po stawach rybnych. Nie ciągle zrywają się kaczki — ogarnia polującego nuda... W długich przerwach pomiędzy podrywami właściwej zwierzyny nieraz i złość ogarnia... irytują nemroda stada żałośnie piszczących nad jego głową rybitw. Więc goli do nich raz-po-raz. Ubija kilka, często kilkanaście sztuk, i pozostawia je na wodzie, w trawach i szuwarach. Niejadalne — rzeczywiście!...

Takiej gorszącej strzelaniny byłem świadkiem i w tym roku, choć tylko raz jedyny mogłem uczestniczyć w kaczem polowaniu. Polowaliśmy 2 dni. Pierwszego dnia myśliwy ten zapraszał mnie na rogacza w swoje strony (znamy się od roku). Coprawda nie byłbym i tak pojechał z braku czasu, pozatem nie palę się do polowania na rogacze — jakoś za duża sztuka i tak rzewnie patrzy, gdy ranną trzeba zbliska dobić! Ale ów myśliwy, gdy drugiego dnia odbywał swój popis strzelania do rybitw, zainterpelowany przezemnie i delikatnie podczas krótkiej dyskusji zgromiony — obraził się! To też już nie nadeszło od niego przypomnienie z proponowaną datą mego przyjazdu na rogacza, co było zasadniczo między nami — na wszelki wypadek — ustalone.

Kiedy mowa o rybitwach, przypomnijmy sobie wszyscy ileż to w naszych oczach ginie bezmyślnie strzelanych t. zw. „jastrzębi", a poprostu pustułek i t. p., ile szpaków, czajek, kulików różnego rodzaju, których się potem nie użytkuje, nawet często nie podnosi wcale, jako niejadalnych! Więc pocóż strzelać?! Czyż cechą myśliwego ma być w pierwszym rzędzie s t r z e l a n i e, a do czego, to już wszystko jedno?

Jeśli strzelałem kiedykolwiek do czajek, kulików, gołębi dzikich, to używałem to ptactwo w domu na stole i wcale nie uważam, żeby ich mięso było niesmaczne. Oczywiście nie namawiam nikogo na to jedzenie — są gusty, są zresztą sposoby przyrządzania. Niektórzy nie jedzą głuszców i cietrzewi, ubitych na toku, a ja zawsze to robiłem — uznając, że są doskonałe, bo miałem je kapitalnie przyrządzane. Nawet łyskę młodą ubiłem kiedyś na próbę i powiem, że odpowiednio przygotowaną zjadłem z apetytem. Rzeczywiście — stare nadto „tranem cuchną", to też łyski strzelałem tylko wtedy, gdy prosił o to myśliwych właściciel terenu — jako szkodniki.

W pierwszym punkcie charakterystycznych, na porządku dziennym zdarzających się przestępstw etyki wymieniłem u b i c i e rogacza na polowaniu na kaczki, b e z z e z w o l e n i a w ł a ś c i c i e l a t e r e n u.

Zrobił to parę tygodni temu pewien myśliwy z Warszawy, człowiek na wysokiem stanowisku, który za pośrednictwem dyrektora jednej z cukrowni, polował grzecznościowo w jednym z okolicznych majątków, bodaj że nie znając wcale właściciela. Ot, przyjechał własnym samochodem z towarzyszem wprost na teren i stamtąd wracał przed wieczorem do Warszawy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności spotkał myśliwych na szosie mój syn, bawiący w osadzie tej cukrowni, jako gość. Myśliwi zainteresowali syna, adepta myśliwskiego — stanął i przyglądał się przygotowaniom do drogi. Myśliwi troczyli właśnie rogacza do samochodu. Widocznie zabrakło im papierosów, gdyż poprosili o nie syna. Nastąpiła znajomość, obustronna wymiana nazwisk... Po powrocie do osady dowiedział się syn o tem, że to właśnie dyrektor cukrowni przysłużył się warszawskiemu myśliwemu terenem na kaczki, lecz z zastrzeżeniem wyłączności polowania na tę tylko zwierzynę. Zatroskał się teraz protektor mocno, że będzie miał przykrość z powodu samowoli gościa, który w ten sposób postąpił...

Komentarze zbyteczne.

O faktach w c z e ś n i e j s z e g o o t w i e r a n i a p o l o w a n i a n a s w ó j w ł a s n y s t ó ł wiem nie od dzisiaj, znam tych wypadków wiele—i nie było sposobu wytłomaczyć temu komuś, że postępuje nieetycznie, a przedewszystkiem, że działa gorsząco. Kiedyś częstowano mnie 2-go września (w imieniny pana domu) zającem!... Może ktoś sądzić, że był to zając przypadkowo zabity przez samochód — nie, tego zająca polecono zabić rządcy folwarku (jestem pewny, że drugiego lub dwa nawet zabił też na własny użytek...) Oczywiście tego zająca nie jadłem i pozwoliłem sobie nawet na publiczny wykład o etyce myśliwskiej przy stole... Mało kto słuchał, a wszyscy go chętnie jedli — wszak nowalja! Na mnie patrzono trochę, jak na „pomylonego".



Ciche leśne jeziorko. Fot. Z. Czarkowski.

O faktach p r z e k r a c z a n i a g r a n i c y t e r e n u nie trzeba się długo rozwodzić. Ręczę, że każdy

z nas wie z własnej praktyki, jak to jest rozpowszechnione. I przychodzi tak łatwo i prędko. A na uspokojenie własnego sumienia mówi się, że przecież to stadko, czy sztuka danej zwierzyny jest m o j a, gdyż tylko co p r z e z e m n i e spłoszona przeszła granicę, ale i takby wróciła napewno, więc jest m o j a.

Kiedyś, będąc na kuropatwach na terenie mojego kółka, strzeliłem tak nieszczęśliwie, że dwie kury z dubletu spadły poza miedzę na terenie niedzierżawionym. Tuż chłop kopał kartofle. Podbiegł i zrobił mi ordynarną awanturę... Szczęściem stało się to tak szybko po strzałach, że stałem na miejscu strzału, a psa instynktownie zatrzymałem na: waruj! Wówczas zdołałem wytłomaczyć gospodarzowi, że, jak sam widzi, nie ruszyłem się z miejsca strzału, że następnie pies, który szedł po ptaki, aby je zaaportować, zatrzymany, leży także przed granicą, a więc i kuropatwy musiały być zdala od granicy, skąd zostały wypłoszone z pod stójki psa.

Łatwo to zruzumiał i nic nie mówiąc sam kuropatwy podniósł (leżały na wykopanem kartoflisku), podszedł do mnie i oddał.

— Myślałem — powiada — że to ktoś obcy „na kłusownika" poluje i jeszcze mi tu na moje włazi.

Widziałem, że jest jednak trochę markotny, widać dlatego, że „chybił".

Przedstawiłem się mu kim jestem (członkiem kółka X. i jednocześnie dyrektorem syndykatu rolniczego w powiatowem mieście), wtedy mnie „poznał osobiście — jak się wyraził — przeprosił i chętnie przyjął 1 zł. za oddane mi lojalnie i s t o t n i e m o j e kuropatwy.

Przytoczyłem ten przykład dlatego, aby podnieść okoliczność, że nie na każdego chłopa trzeba patrzyć jako na przyjaciela kłusowników, że są między nimi dobrze uświadomieni w tym kierunku, że tylko dobry zwierzostan może przynieść gromadzie dochód z dzierżawy polowania i że tego dobra umieją pilnować. Wiedzą doskonale, że tylko tą drogą mogą zdobyć gromadzkie pieniądze na tego rodzaju inwestycje, jak sprzęt straży ogniowej, wybudowanie kapliczki, domu ludowego we wsi, lub t. p.

Jakżeby w podobnym wypadku czuł się myśliwy, któryby, jak to się niezmiernie często zdarza, lekceważąc granicę, spędzone przez siebie kury zastrzelił choć o krok za miedzą graniczną?

*

Nadchodzi sezon kuropatwi, za półtora miesiąca — zajęczy. Myślę, że wcale nie od rzeczy jest przypomnienie w tym momencie wszystkim zrzeszonym w Polskim Związku Łowieckim myśliwym, aby głębiej przemyśleli kwestję wymienionych tu niezmiernie popularnych przewinień zbyt rażącej liczby polujących i zechcieli użyć wszystkich środków towarzyskich i koleżeńskich, ażeby to zło z szeregów myśliwych zaczęło znikać raz na zawsze.

Wówczas unikniemy gorszenia młodych adeptów św. Huberta i... ludności, unikniemy zarzutów przeciwko nieokiełznanemu „strzelactwu", „rzeźnictwu" i „mięsiarstwu" i położymy silniejsze podwaliny pod rozrost wśród polskich myśliwych potrzeby bardziej rygorystycznego i zarazem subtelniejszego ujmowania nakazów etyki myśliwskiej.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

MIGAWKI Z WOŁYNIA – POLOWANIE NA KOZŁA

Ranek jest świeży, pełen rosy, chłodny i czysty, jak woda ze źródełka, z którego czerpiemy, by zagotować w czajniku wodę na herbatę.

W tej chwili „Ras" zrywa się ze szczekaniem, rzucając się w stronę ścieżki, ginącej między sosenkami; słychać krzyki. Okazuje się, że zaatakował baby.

— Poleszuczki idą na grzyby — odzywa się Leon — wcześnie wstały „zarazy", żeby tu dojść, musiały zerwać się przed trzecią.

Patrzę w tę stronę, już między pniami sosen błyska słońce pożarem, by za chwilę wytoczyć się nad wierzchołkami drzew, jak czerwony dysk. Różowieją obłoczki białe, żeglujące po niebie. Naprędce jemy śniadanie. Trochę czujemy w kościach tę noc, przespaną na ziemi. We włosach mamy źdźbła słomy i kawałki kory na ubraniu. Każdy stara się możliwie doprowadzić swą tualetę do porządku, a pan K. dla rozprostowania kości robi parę przysiadów gimnastycznych. Psy głodne kręcą się koło ogniska, które znów jest podsycane. Przy świetle dziennem jakoś zbladło, ale znów ogrzewa dobroczynnem ciepłem nieco przemarznięte nogi.

— Trzeba się śpieszyć z wyjazdem — ponagla pan K., organizator polowania. — Musimy jechać natychmiast, by spotkać się o 5-ej w gajówce z resztą myśliwych. Pan K. wznosi duży szary róg, czysty, srebrzysty zew brzmi i opada, budząc echo kniei.

Wyjeżdżamy z lasu na otwartą przestrzeń poręby, gdzieniegdzie porosłej szeroko rozsiadłemi, puszystemi sosenkami. Są całe srebrne od rosy. Pod białemi pieńkami liliowym cieniem owinął się wrzos. Oglądam się za siebie, jeszcze pod lasem mgła jest rozsnuta, za chwilę wypije ją słońce, teraz wznosi się i faluje, jak firanka z muślinu.

Słychać już szczekanie psów, z gajówki wyjeżdżają na nasze spotkanie myśliwi, przybyli tam przed chwilą. Wiezie ich stary dziad w kożuchu, okręcony czerwonym pasem. Słońce grzeje, a on nic.

— Ten stary to ma z osiemdziesiąt lat — objaśnia nas Leon — nie zdejmuje kożucha, bo go „traścia" (febra) trzęsie.



Jedziemy na rogacza. Fot. Dr. A. Kelus.

Jedziemy teraz wzdłuż łąki; przy sianie uwijają się ludzie. Do wozów wprzęgnięte są woły w jarzmach, znak to, że dojeżdżamy do Kryczylska. Wieś ta jest położona na wzgórzu i dominuje nad okolicą, otacza ją z jednej strony krętem korytem Horyń. Przejeżdżamy koło brodu, wytyczonego palami. Mieszkańcy wsi są od tej strony odcięci od świata, niema tam żadnego mostka, gdzieby mogli przejechać wozem, więc woda przelewa się przez wierzch drabin, bydło też się przepędza wpław. To też rokrocznie są tu wypadki.

Wszędzie widać charakterystyczne stogi i woły, pasące się parami.

— Ot tu, gdzie siano, to na wiosnę tylko czajką można przejechać — objaśnia Michał — Horyń wylewa, wtedy „kaczok i kaczok"! Tu jest na prawo stawek, tam są ich zloty.

Rzeczywiście widzimy w odległości dwa stadka kaczek, zdążające w tym kierunku. Przejeżdżamy w pobliżu Horynia; zdaleka widzimy zadumane postacie srebrzysto-szarych czapli, które polują na ryby. Porywają się jednak zbyt daleko, by zaryzykować strzał, jedna za drugą wzlatują płynnie, wachlując potężnemi skrzydłami, są już spłoszone i kołują nad wodą.

Krajobraz zmienia się, jest piękny, falisty.

— Dobra „otawa" — mówi Leon, patrząc z uznaniem na łąkę — lepsze będzie siano, jak z pierwszego sianokosu, tak latoś wszystko wyschło.



Z wołyńskiej kniei. Fot. Dr. A. Kelus.

Zatrzymujemy się na małej górce usianej kwiatami, żywy, barwny kobierzec ściele się u naszych stóp. Czerwienieją na wysokich łodyżkach lepkie smółki, pachnie żółty miodownik, macierzanka i drżą na wietrze leśne dzwonki liliowe. Tu, w cieniu sosny rozłożystej rozbijamy obóz, jesteśmy u celu, jeszcze tylko kawałek przejdziemy piechotą, by stanąć na stanowiskach. Doświadczam wewnętrznej emocji, jak przed każdem polowaniem na rogacza.

Psy gończe z leśnikami już poszły w teren. Danyło prowadzi myśliwych, wyżły zostają przy wozach. Idziemy gęsiego, ścieżką w zaroślach olszyny, grunt jest nieco mokry, to też co chwila płoszymy żaby, a postoły zagłębiają się w miękki grunt, wyciskając wodę. Nagle stajemy zdumieni: rozciągnięty wzdłuż drogi, leży wąż zaskroniec; wygląda, jakby miał rogi, bo z paszczy sterczą mu nogi żaby, którą właśnie połyka. Przerwaliśmy mu ucztę. Na nasz widok wąż leży chwilę nieruchomo, potem wypluwa drgającą żabę i ginie w gęstej kępie. Żaba zaś, siedzi chwilę oszołomiona, niebylejakie przeżyła emocje, ale potem i ona decyduje się na ucieczkę, skacze lekko w zarośla, widać nie poniosła szwanku. Jak na początek, przeżyliśmy ciekawe zdarzenie, coprawda nie był to wąż boa, który pożerał człowieka, lecz zwykły zaskroniec, ale takie cudowne ocalenie rzadko można oglądać.

Idziemy teraz w zupełnem milczeniu, bo niewiadomo skąd właśnie „on" przyjdzie. Pokolei ubywa myśliwych, którzy zostają na wyznaczonych stanowiskach. Idę teraz z bratem i Danyłem. Rozstawieni jesteśmy w ten sposób, że nasze stanowiska są ostatnie w pobliżu małej górki porosłej sosnami.

Słońce praży jak w lipcu i gryzą wielkie muchy, gzy. Jest cicho, tak cicho, że słychać nieomal bicie własnego serca. Brat mój oczyszcza pole widzenia, obcinając wystające gałązki.

Nagle zdaleka napływa gon, najpierw nadlatuje niewyraźny, jak fala nieskoordynowanych dźwięków, poszczególnych niestrojonych instrumentów, potem następuje cisza, widocznie psy straciły ślad, ale już Nero obejmuje komendę. Jego głos wybija się dzwonieniem, wyższy o pół tonu od innych, teraz napewno ruszyły zwierzynę, tylko jeszcze niewiadomo, czy kozę, czy rogacza?

„Aj, aj, aj" — zawodzi Nero — „ciau, ciau, aj" — podchwytuje Trop i Alfa. Dźwięki zbliżają się, to oddalają, jakby ktoś naumyślnie to przymykał, to otwierał drzwi sali koncertowej. Teraz napewno są blisko. Stoję tak, że widzę przed sobą górkę. Nagle na szczycie pokazuje się kozioł, mknie lekko, wyrzucając szyję. Ta płynność skoków dodaje majestatu jego ucieczce, jest piękny, w odcieniu rudawy, jak pień sosny, obok której przesadza krzak. Ponad uszami sterczą rogi. Tak, piękna sztuka! Kozioł znika, nadbiegają psy i wszystko ginie z drugiej strony górki.

W tej chwili zjawia się Danyło i Michał, odbywa się sąd, czy można było zaryzykować strzał? Ale ekspert Michał rozstrzyga: — za daleko było — i zwołuje resztę myśliwych, by biedz szybko i przeciąć bokiem bagno.

— Może go jeszcze dostaniemy z drugiej strony — mówi Danyło.

Mój brat, nieco zły, patrzy na mnie — choć w głębi serca cieszę się, że kozioł poszedł, ale mam też czyste sumienie: Michał jeszcze raz stwierdza, że było zbyt daleko na strzał. Biegniemy więc, musimy się śpieszyć, by okrążyć bagno i przeciąć drogę nagance, która zatacza duży krąg. Michał sadzi olbrzymiemi krokami, z trudem mu nadążamy. Wtem staje, nasłuchuje i na migi rozstawia myśliwych. Zostaję sama. Zdążyliśmy na czas, bo oto znów słychać miarowo zbliżający się gon. Wybija się wyraźnie głos Nera cienki, jak piszczałka.

Ledwie dosłyszałam lekki szelest — padł strzał.

— Jest — woła Michał i pędzi w kierunku strzału — to ten sam kozioł.

Słychać już trąbienie, schodzimy ze stanowisk. Kozła zabił p. K. Podchodzimy bliżej. Zziajane gończaki jeszcze drżą z podniecenia, z wyciągniętych ozorów kapie ślina, a płuca pracują, jak miechy. Psy nie chcą odejść od swej zdobyczy.

Widzę go już — leży na mchu, padł w chwili skoku, jest zwrócony w stronę strzału, z nozdrzy sączy się cieniutka wstążka krwi.

— Dostał dobrze, w samo serce — mówi z uznaniem Michał, oglądając kozła. Podnosi mu nieco szyję. Sztywniejące ciało zachowało harmonję i piękno, jedna noga podgięta jest, jak do biegu, tylko głowa odchyla się w tył ruchem znużenia. Cięży na niej korona rogów, przedmiot pożądania. Oczy ma szeroko otwarte, zmętniałe, zachowały jeszcze wyraz niezmiernego bólu i trwogi. Tak, czarne są, aż granatowe, wypełnione do głębi cieniem śmierci.

ZOFJA KELUS LIPKOWSKA.

Prosimy wszystkich Prenumeratorów o podawanie dokładnych adresów.

W razie uchybień w regularnem otrzymywaniu kolejnych numerów Łowca Polskiego, prosimy o kierowanie reklamacji w pierwszym rzędzie do swego urzędu pocztowego i o zawiadamianie również nas o tem.

Administracja



Cietrzewie. Z suchorytu J. Kirilenki.

NA CIETRZEWIE

Minął 15-ty sierpnia i nadeszła pora rozkosznego polowania na cietrzewie. Niepowodzenia, jakich mi nie poskąpiła poleska głusza w ubiegłym roku z powodu nieprzychylnej aury, spowodowały, iż zawziąłem się na ród „teteruków", postanawiając wyrównać zaległości obfitym pokotem cietrzewi.

Dzień 16-ty sierpnia zastał mnie na pełnych uroku terenach łowieckich w B.

Właśnie jutrzenka zaczęła barwić opalowym pendzlem wschodni nieboskłon, gdyśmy we trójkę t. j. ja Andrej i „Bekas" wyruszyli na polowanie. Kroki nasze skierowaliśmy na rozległe bagna o podłożu torfowem, porosłe karłowatą sosną, obfite w czernice i żórawiny, sąsiadujące z podmokłym lasem, prawdziwe królestwo teteruków.

Przyroda była jeszcze pogrążona w stanie półsnu, ale ów półsen rozpędzał poranny wietrzyk, rozwiewając tumany mgły gęstej, jak wata, w którą otulone były przez noc „olsy", bezkreśne łąki i moczary Zbudzone już dawno ze snu ptactwo żywo krzątało się w poszukiwaniu żeru, napełniając radosnym gwarem powietrze. Co chwila ze świstem przeciągały nad naszemi głowami stadka dzikich gołębi, zaś wrzaskliwe kraski, wypłaszane co krok z pobliskich sosen, uciekały w bezpieczniejsze miejsca, wabiąc oko pięknem upierzeniem.

Wtem do naszych uszu doszły w oddali płynące dziwne odgłosy: to „strukanie" żórawi, ciągnących z sąsiednich lasów na żerowiska. Chciwemi oczyma śledziliśmy sylwety tajemniczych ptaków, zauważając, iż zapadły daleko przy uprawnych polach, koło prosa, ulubionego ich przysmaku.

A w górze, wysoko nad okolicą, szybował niestrudzony „szulak", nigdy nienasycony i zawsze żądny łupu.

Weszliśmy na obszerną łąkę, porosłą gęstemi krzakami. Źdźbła traw, uperlone poranną rosą, bieliły się, jak od szronu. Naraz zobaczyliśmy na tym perlistym kobiercu smugę, powstałą z otrząśnięcia kropel rosy, biegnącą w kierunku krzaków.

— Tędy szły, „teteruki" — szepcze niezwykle podniecony Andrej.

Tymczasem pies mocno zaintrygowany, ustawicznie węsząc wzdłuż śladów, zagłębił się w krzakach. Podszedłem w napięciu bliżej. Nagle z przejmującem, wywołującem dreszcz emocji myśliwskiej kwoktaniem zerwało się stadko cietrzewi. Niestety, wskutek gęstych i wysokich krzaków ujrzałem tylko jednego. Dałem szybki rzutowy strzał i pędzę w tym kierunku, przedzierając się przez krzaki i przeżywając zmienne uczucia: trafiony czy pudło? Lecz oto ukazał się „Bekas" z trzepoczącym się w pysku ptakiem. Po chwili byłem przy nim i podjąłem ze wzruszeniem mego pierwszego w tym sezonie „teteruczka". Był to młody kogut o pstrokatem jeszcze upierzeniu.

Andrej, splunąwszy swoim zwyczajem na „trupa" dla odgonienia uroków, orzekł z namaszczeniem, że gdy już pierwszym strzałem „promachu" nie zrobiłem, szczęście w polowaniu mamy zapewnione. Stojąc w tyle, zaobserwował, iż stadko po strzale rozbiło się na pojedyncze sztuki i zapadło na odległej podmokłej łące. Jedna tylko sztuka, odbiwszy się od reszty, siadła na sośnie w pobliskim zagajniku. Tam więc podążyliśmy.

Już weszliśmy w środek zagajnika, bacznie przeglądając gałęzie drzew, gdy wtem usłyszałem łopot skrzydeł i zobaczyłem na jasnem tle nieba ulatującego cietrzewia. Mierzę w łeb i delektuję się widokiem gdy po strzale ciężki ptak, zakreśliwszy bezwładnem ciałem łuk, głucho uderzył o ziemię. Tylko ścięty śrutem puch fruwał nad nim czas jakiś w powietrzu...

Teraz już Andrej zaopatrzył się w wycięty z krzaków długi kij, a zawiesiwszy na nim ubite ptaki, z fantazją zarzucił go na ramię, przygotowując się już w ten sposób do zbierania spodziewanych łupów.

Puściliśmy psa. „Bekas" odrazu chwycił wiatr i wy-

stawił w krótkich odstępach czasu dwa młode cietrzewie. Podzieliły los towarzyszy i wkrótce zawisły u Andreja na kiju. Zachwyt Andreja nie miał granic; zaczął całkiem wyraźnie upominać się o butelkę. Już obeszliśmy całą łąkę i przebuszowaliśmy wszystkie krzaki bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń, gdy naraz zobaczyliśmy niezwykłe podniecenie u „Bekasa". Kępa traw była objektem jego bacznych obserwacyj. Zbliżywszy się do tego miejsca na kilka kroków, wypłoszyłem wspaniały okaz starej kury. Nagle żal mi się zrobiło nieszczęsnej matki. Broń opadła ku ziemi, puściłem ją bez strzału. Uradowana darowanem życiem, odleciała płynnym lotem i znikła mi wkrótce z oczu za smugą odległego lasu.

Lecz namiętność łowiecka bierze górę, kusi łowcę żądza nowych zdobyczy i pędzi go w coraz dalsze ostępy. Pomimo jednak dwugodzinnych poszukiwań na dużym obszarze mokradeł, cietrzewi nie spotkaliśmy. Tymczasem słońce wzniosło się już wysoko, lejąc żar z nieba, żołądki zaś nasze zaczęły upominać się o swe prawa. Rozłożyliśmy się pod cienistym drzewem na krótki odpoczynek i posiłek, w czasie którego Andrej w należytem skupieniu wypróżniał „mopolkę", ja zaś w duchu przeżywałem jeszcze raz wypadki dnia dzisiejszego.

Kwadrans odpoczynku — i ruszyliśmy w dalszą drogę. Minęliśmy bokiem moczary i wrzosowiska i weszliśmy w strefę uprawnych pól. Nie spodziewając się w tem miejscu cietrzewi, zawiesiłem swą „ef-enkę" na ramieniu.

Lecz czekała mnie tu niespodzianka. Oto „Bekas" wszedł w łan ziemniaków i coś wystawia. Byłem pewien, że kuropatwy. Podszedłem bliżej raczej z ciekawości, nie zdejmując broni, gdy wtem z elektryzującem łopotaniem poderwały się cztery stare koguty. Zerwanie broni było dziełem jednej chwili. Buchnęły dwa szybkie strzały, po których jeden „teteruk", łyskając bielą podbicia skrzydeł, opadł w kartofle.

— Sława Bohu — woła z zachywtem Andrej — a mówiłem, że będzie „ochota udaczna".

I rzeczywiście „udaczna". Z rezultatu dnia tego byłem w zupełności zadowolony, to też syci wrażeń zawróciliśmy ku domowi, układając po drodze dziesiątki planów na następne dni polowania.

*

Nastał dzień dżdżysty. Od samego ranka rozpadał się beznadziejny kapuśniaczek, niwecząc wszelkie myśliwskie nadzieje. Zmarkotniałem. Tymczasem o godzinie siódmej przyszedł do mnie niespodziewanie Andrej, namawiając, ażebyśmy wybrali się na „teteruki" na uroczysko „Welikodnik". Według niego okoliczności składały się dla nas wyjątkowo sprzyjająco, gdyż cietrzewie w czas takiej „szmaruchy" przesiadują na drzewach i nieskore do lotu dają się łatwo podejść na dobry strzał śrutowy.

Poszliśmy. Broń pochowaliśmy pod płaszcze, a ocierając od czasu do czasu ociekające wodą lufy, uważnie przeglądamy okolicę. Wkrótce bystry wzrok Andreja wykrył siedzącego na wyniosłej sośnie koguta. Kryjąc się za krzaki i pnie drzew, kociemi ruchami podszedłem doń na pięćdziesiąt kroków. Mój cietrzew napuszony, jak kopica siana, siedzi spokojnie i ani myśli zmykać. Wybrałem odpowiednią lukę między gałęźmi i złożyłem się. Padł suchy strzał i wspaniały ptak legł w mchowe puchy. Radość myśliwego jednak połowiczna, gdyż kogut bez liry. Po strzale zerwało się z pobliskich krzaków kilka kogutów, a zrobiwszy nieduży przelot zasiadły na sosnach. Ruszyliśmy w pościg. Teraz podejście czujnych ptaków okazało się nie tak łatwem zadaniem, gdy bowiem zbliżyłem się do nich na osiemdziesiąt kroków, siedzący na szczycie sosny kogut, obserwujący pilnie moje ruchy zagruchał. Na ten sygnał wszystkie cietrzewie w tej chwili poderwały się i uleciały. Nie dałem jednak za wygraną, lecz zamieniwszy dubeltówkę na sztucer Mauzera (który zawsze Andrej nosił „od wszelkiego wypadku"), hajże dalej! Tym razem św. Hubert raczył łaskawie spojrzeć na mnie i niebawem uszczupliłem to stadko o jedną sztukę kulowym strzałem.

Niemiłosierny kapuśniaczek wciąż padał, a my zapuszczaliśmy się coraz głębiej w cietrzewie mateczniki. Okazji do strzału miałem bardzo dużo, nabojów też nie żałowałem, a gdyśmy po polowaniu, objuczeni obfitym łupem, wracali do domu, doszedłem do przekonania, wbrew utartemu przysłowiu, iż mokry strzelec w przeciwieństwie do suchego rybaka niezawsze djabła wart.

KAZIMIERZ CZELNY
Dr. med.-wet.

Tam, gdzie orzeł się pławi w błękicie...

W pełnym zgiełku, mrowiącym się tłumie,
w miejskim gwarze, zaduchu, turkocie,
dusza skrzydeł rozwinąć nie umie.
Myśli grzęzną w lepiącem się błocie..
Nikt nie czuje i nikt nie rozumie,
że konają tu, giną w tęsknocie
narodzonych w puszczańskim poszumie
twórczych wzlotów i twórczych sił krocie.

Jestem sobą i wracam do życia
tam, gdzie Puszcza chorały mu śpiewa,
tam gdzie orzeł się pławi w błękicie,
płynąc strugą wolnego powiewu.
Twórcze myśli poczęte w ukryciu
płyną z niebios, jak letnia ulewa!
Tam się duszą zatapiam w prabycie,
siłę ziemi wypijam — jak drzewa!

W. L. von FALKENAU.



O SZTUCE UKŁADANIA PTAKÓW DRAPIEŻNYCH DO ŁOWÓW

(Ciąg dalszy).

Umiejętny prowadzony trening, w trakcie którego warunki napuszczania są przez nas stale zmieniane, można, szczególnie u jastrzębi, przeciągnąć dość długo. Oczywiście musimy się starać, aby były zachowywane przytem pozory polowania, oraz przedsięwzięte wszelkie środki, by drapieżnik nasz nie poznał się na tem, że ma do czynienia ze zwierzyną, podłożoną mu sztucznie.

Często się zdarza, szczególnie z młodym ptakiem, że przy uderzeniu na zdobycz robi jakiś „taktyczny" błąd i później, pomimo zaciętego pościgu, nie jest w stanie schwytać swej ofiary. Jeśli mamy gołębie własnego chowu, powracają one zwykle w takich przypadkach po paru godzinach do gołębnika. Gorzej jest z gołębiami kupnemi, które wówczas giną bezpowrotnie.

Aby temu przeciwdziałać, przyczepiamy do nogi gołębiowi, na którego mamy napuszczać, szpulkę od nici z nawiniętym kilkunastometrowym cienkim szpagatem. Nie przeszkadza to prawie zupełnie gołębiowi podczas lotu, a w przypadku gdy drapieżnik z tych czy innych przyczyn zawiedzie, umożliwia łatwe schwytanie gołębia, który ostatecznie się gdzieć uplącze o jakiś krzak, dzięki zwisającej mu u nogi długiej lince, obciążonej szpulką.

Gołąb, szczególnie dla gołębiarza samicy, jest trudną zwierzyną. Bije ją zawsze swą zwrotnością. Aby ułatwić młodemu drapieżnikowi pościg, jeśli napuszczamy bez szpulki, powinno się obciąć gołębiowi conajmniej do połowy ogon, tylko bowiem w ten sposób możemy zrównać warunki obu partnerów.

Chociaż treningi wcale dobrze szkolą i rozwijają ptaki (miałem przypadek, gdy pościg gołębiarza za gołębiem odbywał się na przestrzeni $1^1/_2$ km.), należy jednak w miarę możności jaknajszybciej przejść do prawdziwych łowów. Zaczynamy zawsze od zwierzyny łatwej, a polowanie prowadzimy tak, by młody ptak miał warunki optymalne dla schwytania zdobyczy. Pierwszych kilka polowań musi się udać. Jeśli zawiedzie zwierzyna lub drapieżnik, podpuszczamy wówczas zabrane na wszelki przypadek gołębie, aby ptak nie wracał bez „krwi". Później, gdy już kilka tygodni popolujemy z naszym ptakiem i nabierze on do nas zaufania, będziemy mogli napuszczać i w warunkach trudnych, gdyż pudła nie będą już wówczas peszyły drapieżnika, przeciwnie nawet, raczej zachęcą go do intensywniejszego gonienia zdobyczy.

Młody ptak chętnie poluje codzień, dziczka natomiast lepiej jest napuszczać co drugi dzień, przegradzając polowanie głodówkami, lub też karmiąc go w dni wolne do pół wola. Oczywiście, że wówczas po tygodniu polowań powinna następować kilkodniowa przerwa, podczas której żywimy ptaka normalnie. Zresztą na to, kiedy i jak często polować z drapieżnikiem, nie można dać żadnego przepisu. Polujemy wówczas, gdy jest on w „formie". Jedne drapieżniki gonią lepiej, gdy są obchudzone, inne właśnie w pełnem mięsie; niektóre trzeba przed polowaniem głodzić jeden, a nawet dwa dni, a inne pracują chętnie, mimo iż codzień dostają jeść dosyta. Rozpowszechnione mniemanie, że wszystkie ptaki myśliwskie gonią jedynie z głodu, jest niezupełnie słuszne, gdyż trafiają się i takie, które pasjonują się w pierwszym rzędzie samem polowaniem, odsuwając jedzenie na plan drugi, nawet wówczas, gdy zabieramy je w teren po głodówce.

Jedno tylko niezmiennie występuje u wszystkich drapieżników, mianowicie, że polują one najchętniej i łowią najlepiej tylko przy pewnej ściśle określonej indywidualnie dla każdego ptaka wadze (stopniu otłuszczenia i umięsienia). Musimy zatem na treningach ustalić optimum wagi naszego ptaka i starać się, normując mu pożywienie, utrzymać go mniej więcej na równym poziomie. Już większe odchylenia niż 5% od wagi optymalnej wpływają wyraźnie na formę ptaka) (szczególnie, in plus). 10% nadwagi wystarczy zwykle, by z doskonałego ptaka zrobić lenia, który polować będzie tylko jak z łaski. Jeśli chodzi o dziczki, to najczęściej takie optimum stanowi waga w chwili złowienia. Często jednak, szczególnie ptaki łowione późną jesienią, są nieco zatuczone, gdyż mają one zapas tłuszczu przygotowany na okres zimowy. Te oczywiście trzeba nieco obchudzić od wagi początkowej.



Młody gołębiarz Fot. A. Wiśniewski.

Ważyć ptaka łowczego należy conajmniej raz na miesiąc, lepiej jednak częściej, np. co 10 dni. Ważymy zawsze rano, przed jedzeniem. Młode ptaki przywykają do tego bardzo łatwo, szczególnie jeśli ważymy je często jako pisklęta, sprawdzając ich dzienny przyrost. Dziczki jednak trzeba zwykle kapturzyć przy tym zabiegu. Jeśli ptak nie chce wschodzić na wagę, wówczas ważymy go na rękawicy, zsuwając ją z ręki na szalę wagi wraz z siedzącym ptakiem.

Każdy gatunek drapieżników ma swój ustalony sposób polowania, związany ściśle z jego budową i dostosowany do warunków, w których bytuje, a może raczej przeciwnie, narzucony mu właśnie przez środowiskoo i własną konstytucję fizyczną. Jeśli chcemy zatem, by polowanie nasze dawało dobre rezultaty, musimy nasze wymagania dostosować do naturalnych, przyrodzonych właściwości tego gatunku, z którym zamierzamy łowić. Jastrzębie i krogulce, które mają niewielką wytrzymałość w locie oraz szybkość, posługują się metodą zaskoczenia swej ofiary. Ukryte w listowiu drzew, starają się najczęściej doczekać chwili, gdy ofiara zbliży się na kilkanaście metrów, lub też usiłują skrytym lotem podejść jaknajbliżej zwierzyny, by potem, gdy zostaną dostrzeżone, błyskawicznie, korzystając z tego, że ścigany ptak nie nabrał jeszcze rozpędu, dojść go i uchwycić. Dzięki temu, że

posiadają one stosunkowo krótkie skrzydła i długi ogon, cechuje je wielka zwrotność — nieodzowna dla polowań w terenie, pokrytym zaroślami lub kępami krzaków, ułatwiających skryte podejście do zwierzyny. Łup chwytają z reguły jedną łapą, zwykle z boku. Dosiad ze zdobyczą, o ile warunki na to pozwalają, robią w miejscu schwytania. Gdy ścigana ofiara ukryje się gdzieś w zaroślach, lub w wysokiej trawie, siadają na ziemię i dalej na piechotę prowadzą atak, albo też sadowią się na najbliższym drzewie i cierpliwie oczekują, aż zwierzę opuści swą kryjówkę. W stanie dzikim gołębiarz lub krogulec, gdy uderzają na upatrzonego, nie chybiają prawie nigdy, biorąc z równą łatwością z ziemi, jak i z powietrza. Stary, doświadczony jastrząb potrafi wziąć nawet kaczkę z wody.



Wyżeł niemiecki w stójce.

Zupełnie inaczej poluje sokół. Ten król przestworzy nie potrzebuje uciekać się do zasadzek czy podstępów. Z łatwością dogania on, nawet z kilometrowej odległości, każdego ptaka średniej wielkości. Jego ulubionym terenem są otwarte przestrzenie, odkryte poręby leśne, lub polany. Bije w stanie dzikim tylko w powietrzu. Jeśli ptak ścigany zdoła dopaść ziemi, lub ukryć się w gałęziach drzew — jest ocalony. Szybkość lotu sokoła jest poprostu zdumiewająca. W pościgu za zwierzyną dochodzi ona do 260 km. na godzinę, podczas uderzania na zdobycz z góry jest prawdopodobnie jeszcze większa. Obserwowano jak sokół rzucił się na przelatującego o 500 m. gołębia pocztowego. Zanim ten ostatni zdążył przelecieć 200 m., sokół dopadł go i zwalił na ziemię. Musiał on zatem w pościgu rozwinąć prawie trzykrotnie większą szybkość, niż umykająca ofiara. Młody sokół zwykle stara się, podobnie jak jastrząb, w linji prostej dosięgnąć zdobycz. Stary, doświadczony ptak wzbija się na kilkadziesiąt nieraz metrów nad ofiarę i dopiero z góry, jak kula, rzuca się na łup. Uderzenie sokoła nie jest tak niezawodne, jak jastrzębia. Często przy pierwszym nalocie chybia, poprawia jednak błyskawicznie, czasami kilka razy nawet. Szeroko rozpowszechnione mniemanie, że sokół uderza zdobycz piersią, jest najzupełniej mylne. W myśl bowiem znanego prawa fizycznego doznawałby przytem niemniejszego wstrząsu, niż sama ofiara. Atakuje on zdobycz, starając się w przelocie „musnąć" ją szponami, co przy jego ogromnej szybkości zupełnie wystarczy, by rozszarpać grzbiet ściganego ptaka, łamiąc mu żebra, a nawet urwać mu całkowicie głowę. Większego od siebie ptaka zwykle kilkakrotnie uderza w powietrzu. Spadające z góry pióra, wyrwane wraz z kawałkami skóry, zdradzają siłę ciosów. Sokół pozwala najczęściej swej napół żywej ofierze spaść na ziemię i dopiero wówczas robi dosiad, jeśli zaś walka odbywa się nad wodą, lub nad ludną miejscowością, chwyta spadającego ptaka w szpony i odnosi go na jakieś bezpieczne miejsce. Pościg za zdobyczą rozciągać się może nieraz na kilka kilometrów. Z tem należy się zawsze liczyć więc jeśli teren nie jest zupełnie odkryty i nie pozwala na śledzenie przez szkła pościgu naszego sokoła za zdobyczą, a nie chcemy zgubić ptaka, nie powinniśmy nigdy napuszczać go na jakąś trudniejszą zwierzynę.

W stanie dzikim wszelkie drapieżniki polują zasadniczo tylko na mniejsze i słabsze od siebie ptaki lub ssaki, tak aby pożywienie zdobywać sobie z możliwie najmniejszym nakładem sił i energii. Wyjątkowo zdarza się wprawdzie, że zmuszony głodem gołębiarz uderzy na głuszca lub starego zająca, a sokół wędrowny np. na dziką gęś, lecz, jak wspomniałem, zdarza się to tylko sporadycznie. Jastrzębie naogół nie przebierają w doborze pożywienia. Około 40% ich łupów stanowi ptactwo domowe i zwierzyna łowna (z tej ostatniej głównie kuropatwy, bażanty, młode zające i króliki), reszta ich pożywienia składa się ze zwierzyny niełownej, przeważnie nawet z tak zwanych szkodników — wron, sójek, srok, chomików, wiewiórek i wszelkiego rodzaju drobnych gryzoniów, do myszy włącznie. Sokoły są bardziej wybredne. Biorą one w zasadzie tylko z powietrza. Najciekawsze jest to, że poszczególne ptaki specjalizują się często w polowaniu na jeden lub kilka gatunków zwierzyny. Ulubione pożywienie sokołów stanowią w pierwszym rzędzie gołębie domowe i dzikie, z pozostałej zwierzyny użytkowej dzikie kaczki i większe gatunki ptactwa błotnego. Kuropatwy i bażanty biorą rzadziej. Bardzo wiele sokołów żywi się nieomal wyłącznie krukowatemi, które często stanowią 70—80% ich menu. Zdawałoby się zatem, że mamy poprostu nieograniczone możliwości w wyborze zwierzyny, na którą możemy napuszczać nasze ptaki myśliwskie. W rzeczywistości jednak rzecz przedstawia się nieco gorzej. Musimy wziąć bowiem pod uwagę to, że dotychczas mówiliśmy o jadłospisie jastrzębia, lub sokoła w stanie dzikim. Niestety możliwości łowne ptaka myśliwskiego są zawsze znacznie mniejsze, niż ptaka na swobodzie. Jako normę, możemy przyjąć, że dobry dziczek traci przy układaniu 10 — 20% swej sprawności, ptak zaś wychowany w domu osiąga w najlepszych nawet warunkach zaledwie 50 — 60% sprawności swego dzikiego krewniaka. Nie możemy zatem żądać od naszego sokoła, nawet od dziczka, by brał rybitwy, czajki, kuliki, choć w stanie dzikim daje sobie z niemi doskonale radę. Przeważnie też nie daje rezultatów puszczanie jastrzębia na „czerń" — to jest ptaki krukowate oraz na wszelką zdobycz inaczej jak z podrywu i to na dystans nie większy, niż 50 m., choć w naturze potrafi samiec gołębiarz wziąć kuropatwę i o 150 — 200 m.

Z jastrzębiami możemy polować na kuropatwy (lepiej z samcem), bażanty, cietrzewie, przepiórki i dubelty i w odpowiednim terenie na kaczki. Po pewnej specjalnej tresurze samicę gołębiarza możemy doskonale używać na zające i dzikie króliki. Dziczek brać będzie te same gatunki zwierzyny nawet na większe odległości. Sokoła gniazdowego możemy napuszczać w zasadzie tylko na ptaki z podrywu, jednak na dystans dwu-trzykrotnie większy, niż gołębiarza. Najbardziej odpowiednią zwierzyną dla niego będą bażanty, kaczki dzikie, oraz kuropatwy, o ile potrafimy go na nie nauczyć. Po pewnej tresurze można go z powodzeniem puszczać na czerń. Dziczki sokołów mają bez porównania większe możliwości: przedewszystkiem mogą one względnie łatwo brać wyżej wymienione ptaki z lotu, nie z podrywu, po przeprowadzeniu zaś tresury specjalnej dają się one ułożyć na duże ptaki, jak gęsi, czaple, oraz drapieżniki.

Jedną z najistotniejszych trosk drapieżnika na swobodzie stanowi wyszukanie zwierzyny. Potrafi ona poprostu w zadziwiający sposób maskować się i chronić przed swemi wrogami. Na widok sokoła wszystko

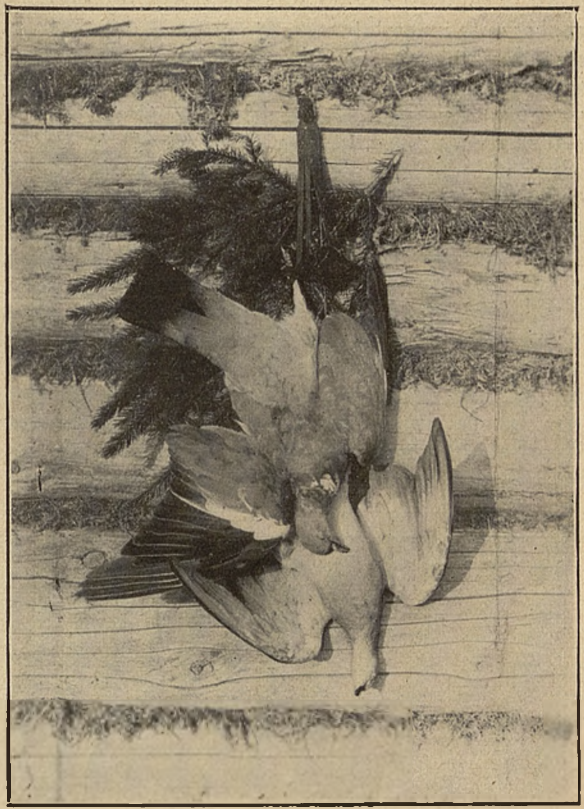
co żyje kryje się błyskawicznie w drzewa, zarośla, lub na wodę. Wrony potrafią nawet wkręcać się w sterty słomy czy strzechy domów. Jastrząb nieraz po całych dniach musi czekać, aż jakiś przypadek zmusi kury do zerwania się z kartofliska czy łubinu, względnie do opuszczenia remizy. W niewoli ptak myśliwski ma znacznie ułatwione zadanie przez to, że ta właśnie, jak wspomniałem, najważniejsza bodaj troska wyszukanie zwierzyny spada na nas. My to wystraszamy z bezpiecznych schronisk wszelkiego rodzaju ptaki czy ssaki, oddając je przez to na łup naszego pupila. Oczywiście, że najlepsze rezultaty osiągniemy, jeśli do szukania zwierzyny użyjemy wyżła. Musi być on jednak nadzwyczaj karny, dość powolny, a przedewszystkiem pies i ptak muszą być przyzwyczajone do siebie, oraz zrozumieć na czem polega ich współpraca. Zaznajomienie wyżła z drapieżnikiem, wychowanym od pisklęcia w domu, jest naogół bardzo łatwe — poprostu w dzień podprowadzamy psa do gniazda, pozwalamy mu obwąchiwać młode drapieżniki (trzeba naturalnie pilnować, by wyżeł jakimś niespodziewanym wyczynem nie przestraszył młodych), następnie karmimy młode przy psie, a wreszcie próbujemy na treningach jak się będą odnosiły do siebie te zwierzęta. Z dziczkiem oczywiście jest nieco trudniej, ale i ten zwykle po kilkunastu dniach zaczyna tolerować psa. Już po kilku wyjściach w teren, gdy ptak zrozumie rolę wyżła na polowaniu, cała jego uwaga skupi się na nim. Będzie ustawicznie wodził wzrokiem za każdym jego krokiem i będzie reagował na stójki.

Rola myśliwego w sokolnictwie ogranicza się do wyszukania odpowiedniej zwierzyny, podejścia jej na bliski dystans i spłoszenia w odpowiednim kierunku, tak aby ptakowi było wygodnie chwycić, a myśliwy by miał możność podejścia do ptaka ze zdobyczą. W teorji wygląda to bardzo łatwo. W praktyce jednak stworzenie odpowiednich warunków dla ptaka łowczego wymaga nietylko gruntownego poznania natury drapieżnika wogóle, a swojego ptaka w szczególności, lecz i pierwszorzędnej znajomości obyczajów zwierzyny, na którą polujemy, oraz niejako intuicyjnego wyczucia jej taktyki obronnej, którą w dawnych warunkach zastosuje.

Z gołębiarzem lub krogulcem, jak to już wspomniałem, polujemy przeważnie tylko w ten sposób, że spuszczamy je z rękawicy na zwierzynę, którą wypłoszy pies lub naganiacze. Z sokołem jednak sposób ten, szczególnie jeśli polujemy na kuropatwy, daje przeważnie rezultaty bardzo nikłe, gdyż ścigana zdobycz zdąży przeważnie zapaść na ziemię, zanim sokół ją dosięgnie, Aby ułatwić mu polowanie, należy go nauczyć uderzania na zdobycz nie z pościgu, lecz z góry, tak jak to robią stare ptaki. Przystępujemy do tego wówczas, gdy ptaki są już po oblocie i po pierwszych treningach na gołębie.

Nie mając własnego doświadczenia podaję metodę tresury za jednym z najlepszym sokolników niemieckich Hr. Mensdorfem. Postępuje on ze swojemi sokołami w sposób następujący. Z ptakiem na rękawicy zbliża się na 20 — 30 m. do pomocnika, który na znak podnosi do góry rękę, w której trzyma trzepoczącego się gołębia (musi on mieć skrzydła i ogon nieco podcięte). Sokół zwykle rzuca się na zdobycz którą pomocnik w ostatniej sekundzie chowa za siebie. Drapieżnik, zdziwiony i zaskoczony tem co się stało, wzbija się zwykle świecą w górę i krążąc nad głową pomocnika wypatruje swoją zdobycz. Po chwili, gdy chce już odlecieć, należy mu znów na chwilę pokazać gołębia, co zachęca go do zawrócenia i dalszego wypatrywania. Gdy sokół wzbije się już dość wysoko nad głowę pomocnika, ten niespodziewanie puszcza gołębia, zmuszając go do wzlotu. Wówczas drapieżnik uderza z konieczności z góry na swoją ofiarę. Następnego dnia powtarzamy lekcję, zmuszając ptaka, by przez kilka minut krążył nad głową pomocnika, aż nie doczeka się na podrzuconego mu gołębia. Gdy zobaczymy, że nasz sokół bije śmiało z góry — „po sokolemu", przystępujemy odrazu do treningów na kuropatwy.

Przed lekcją rozbijamy paroma strzałami stado kur, spędzając je tak długo, aż pojedyńcze sztuki zapadną w jakieś niewielkie kartofle, gdzie wygodnie i łatwo będzie je można znaleźć. Udajemy się tam z ptakiem i pomocnikiem, który powtarza sztukę z gołębiem, zmuszając sokoła do wzbicia się w górę. Gdy osiągnie on odpowiednią wysokość, szybko przy pomocy psa, czy wydeptując, zmuszamy kurę do wzlotu. Jeśli sokół nie uderzy, spodziewając się gołębia, wypłaszamy następną. Najczęściej jednak ptak, nieprzetrenowany na gołębiach, bez wahania rzuca się na pierwszą kurę, która się zerwie. Jeśli weźmie ją, pozwalamy mu najeść się na niej dosyta. Jeszcze na kilku następnych polowaniach musimy „stawiać" sokoła przy pomocy wabienia gołębiem, wkrótce jednak, gdy ptak zrozumie o co chodzi, bez tych wszystkich sztuczek będzie chętnie zrywał się z ręki i krążył nad naszą głową w oczekiwaniu, że wypłoszymy mu kuropatwę.



Grzywacze. Fot. T. Pacyna.

Nie mogłem znaleźć starego sokolniczego terminu polskiego dla oznaczenia tego sposobu polowania, proponuje więc nazwę „polowanie z sokołem na czacie". Dla sokoła zaś tak ułożonego „czatownik" (niem. anwarter).

Najwyższą klasę sokołów myśliwych stanowią ptaki ułożone do atakowania znacznie silniejszych i większych od siebie zwierząt. A więc w pierwszym rzędzie czapli, dzikich gęsi, lub też drapieżników. Polowanie takie jest bezwzględnie najbardziej efektowne i emocjonujące, gdyż stajemy się świadkami prawdziwej walki, która nierzadko kończy się nawet zwycięstwem ofiary nad napastnikiem. Polować w ten sposób możemy tylko z konia i to przyzwyczajonego do polowań „par force", gdyż walka ptaków w powietrzu rozciąga się przeważnie na dużej przestrzeni. Przez cały czas, nie bacząc na rowy czy płoty, jedziemy w ślad za ptakami tak, by w chwili gdy sokół „posadzi" zdobycz na ziemi być jaknajprędzej przy nim i dopo-

móc mu, gdyż inaczej może on zostać poważnie pokaleczony dziobem, lub skrzydłami swej ofiary. Nie trzeba dodawać jak wielkie znajomości jazdy konnej wymaga takie polowanie i jak jest niebezpieczne.

Do takich łowów układać możemy tylko wyjątkowo silne i doskonale oblatane gniazdowe samice sokołów, któremi niemniej niż rok i to dużo polujemy z czaty, lub też dziczki. Sama tresura jest trudna i żmudna. Wymaga przedewszystkiem wielkiego doświadczenia ze strony sokolnika. Naukę rozpoczynamy od tego, że karmimy naszego sokoła mięsem, uwiązanem do szyi wypchanej czapli, czy innego ptaka, na którego mamy zamiar go układać. Już po kilku tygodniach, sokół reaguje na wypchaną czaplą, jak na wabidło — robiąc bez wahania dosiady na jej szyję. Teraz zastępujemy ją żywym ptakiem, któremu oczywiście wiążemy przed lekcją skrzydła oraz okręcamy materjałem koniec dzioba. Jeśli tylko sokół zrobi dosiad, podbiegamy natychmiast i podkładamy mu kawałek mięsa, by nie uszkodził naszej czapli. Po kilku takich próbach podcinamy jej lekko skrzydła, bandażujemy dziób, przyczepiamy do nogi sznur, aby w razie czego dała się złapać i gdzieś z ukrycia wypuszczamy w pobliżu sokoła postawionego na czatę. Jeśli strąci czaplę z powietrza, możemy przystąpić do prawdziwych polowań Początkowo należy zapuszczać tylko na młode ptaki i po obiedzie, gdy są one najedzone i przez to ociężałe. Na czaple naogół najlepiej jest układać dwa sokoły, które wspólnie będą ją atakować.

Przy układaniu jastrzębi na zające posługujemy się również metodą wkarmiania. Do tresury nadają się najlepiej samice gołębiarzy, wychowane z piskląt, dziczki bowiem, szczególnie takie, które na swobodzie nie brały zajęcy, uczą się tego bardzo trudno. Początkowo karmimy jastrzębie na wypchanym szaraku, umieszczając mięso w otworze zrobionym we łbie i w oczodołach. Przyzwyczaja to naszego ptaka do robienia dosiadów wyłącznie na głowę swej ofiary. Początkowo lekcje przerabiamy na zającu nieruchomym, później ciągniemy go na sznurku tak, by ptak „gonił" i robił dosiad w ruchu. Po kilku tygodniach nauki napuszczamy na żywego królika średniej wielkości. Jeśli drapieżnik robi dosiad na głowę i kark i osadzi króla — możemy śmiało iść z nim na zające. Polować należy na otwartej zupełnie przestrzeni, gdyż inaczej zając z jastrzębiem na plecach może wpaść w zarośla i dzięki temu pokaleczyć naszego wychowanka. Do polowania na zające nie powinniśmy używać ptaków młodszych, niż półroczne, w każdym razie takich, które już mają zupełnie wyrośnięte pazury (na tylnym i wewnętrznym palcu 3,5 — 3,8 cm).

Można uczyć jastrzębie polowania na zające, puszczając je stopniowo na coraz to większe króliki domowe. Sposób ten nie jest zbyt dobry, gdyż jastrząb, gdy ma do czynienia z małemi okazami, osadza je, chwytając gdziekolwiek pazurami, potem zaś, gdy dać mu silniejszego starszego króla, próbuje robić to samo, a nie mogąc mu zadać śmiertelnych obrażeń, jest wleczony kilkanaście metrów po ziemi, tak że najczęściej zniechęcony puszcza zdobycz.

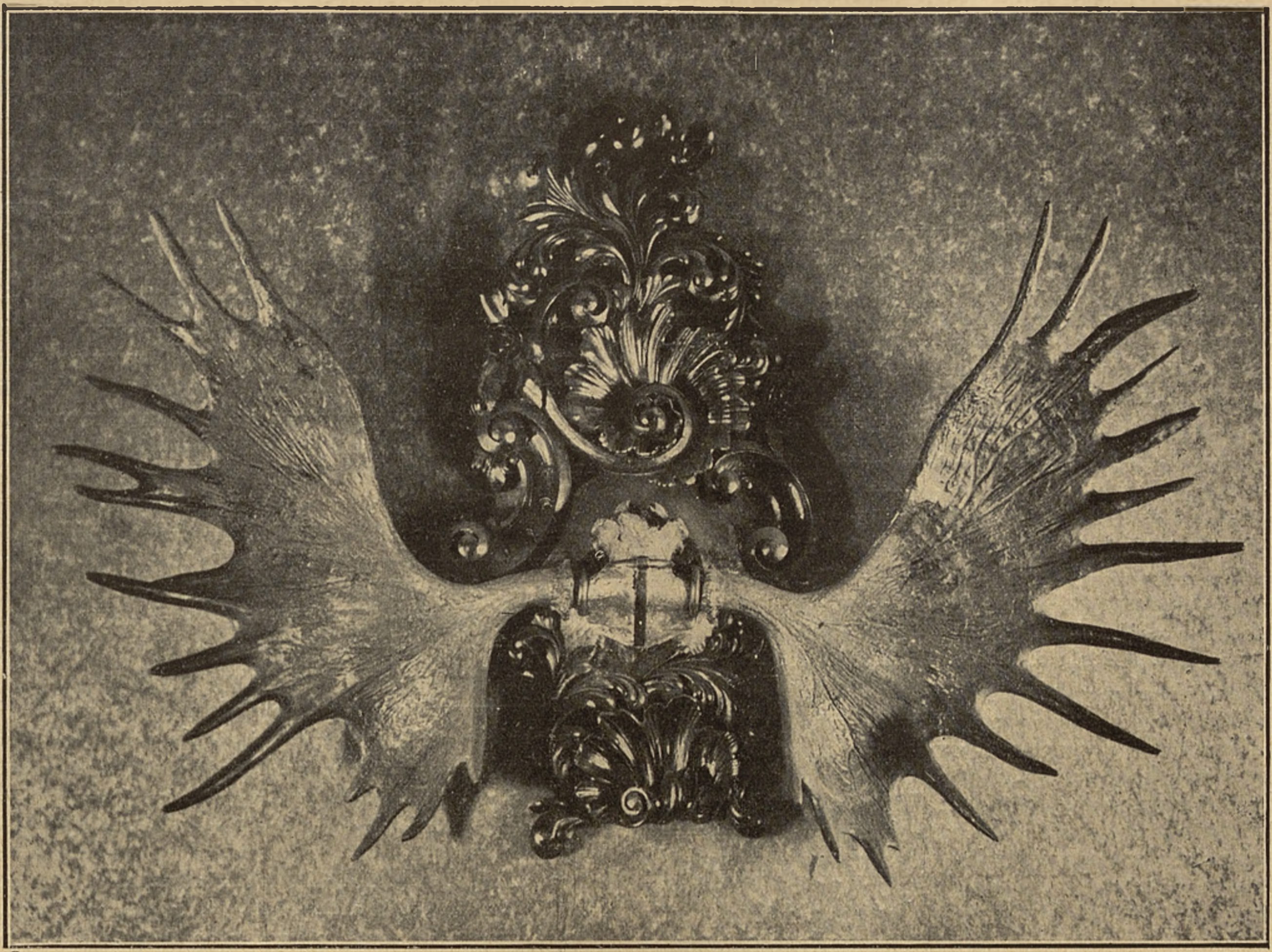
Jeśli chodzi o wydajność polowań sokolniczych, to na wschodzie np. z dobrym jastrzębiem łowią do 50 bażantów dziennie, rekordowe zaś ptaki biorą 70 sztuk i więcej. Upolowanie 10 — 15 zajęcy przez jednego ptaka również nie należy do rzadkości. Ostatnio w Anglji jastrząb „Red Queen" wziął w ciągu dnia 24 króliki. Jeśli chodzi o sokoły, to np. również w Anglji sokół „Parachute" (gniazdowy) upolował w sezonie 54 groussy, 76 kuropatw, 5 bażantów, 5 różnych ptaków i 3 zające. Dementiew opisuje polowanie, gdzie sokół, puszczony na stado złożone z 11 dzikich gęsi, gonił je na przestrzeni kilku kilometrów, spuszczając z powietrza na ziemię 8 sztuk, a dopiero na dziewiątej robiąc dosiad. W innym przypadku z orłem przednim (berkutem) wzięto w ciągu dnia 14 wilków i 3 zające.

Wreszcie jeśli chodzi o dawne czasy, to np. margrabia Fryderyk Hesski upolował sokołami w ciągu 25 lat (1730 — 1755): 1763 kanie, 4174 czaple, 4857 wron, 14.087 kuropatw, 398 dzikich kaczek, 1647 srok, 985 bażantów, 5059 zajęcy, w sumie — 34.500 sztuk zwierzyny.

(Dok. nast.) Dr. AUGUST DEHNEL.



Fragment puszczy. Fot. Dr. A. Kelus.



Rosochy kopalne. Znalezisko z 1892 r. w rzece Utracie, przy ujściu do Bzury. Własność Polskiego Tow. Łowieckiego

NIECO O ŁOSIU KANADYJSKIM

Łoś Ameryki Północnej należy dziś do najpotężniejszych przedstawicieli zwierząt, jakie do czasów obecnych na kuli ziemskiej przetrwały. Imponującą masą swego ciała i budową przewyższa on bodaj wszystkie istniejące odmiany łosia w świecie. Istnieje ogólne mniemanie, że najsłabszy łoś kanadyjski ma potężniejsze łopaty od najlepszego łosia europejskiego. Mniemanie to jednak nie jest słuszne, ponieważ, podobnie jak u wszystkich jeleni, dziedziczne ukształtowanie rosoch każdego łosia może być dobre, średnie, lub złe. Wielki wpływ na kształtowanie się poroży ma pożywienie i klimat. Pozatem zaś niektóre okolice sprzyjają siedliskowo rozwojowi rosoch łosia, inne zaś nie.

W ogromnych lasach iglastych Kanady łoś nie ma stałej ostoi, lecz, wskutek dużej liczby pożarów, wędruje z miejsca na miejsce. Obszary te są bardzo często zalesiane znowu, a młode drzewka, które tu bardzo prędko rosną, stanowią doskonałe pożywienie dla łosi. Tego rodzaju pasza doskonale wpływa na kształtowanie się łopat i właśnie tam, gdzie przed pożarem łosi nigdy nie było, powstają ich stałe ostoje. Taki stan nie trwa jednak długo, najwyżej dwa lata. Wskutek napływu wielkiej ilości łosi z pobliskich i dalszych okolic, oraz prędkiej rozmnoży (łosza od drugiego roku życia cieli się rokrocznie i z reguły pomiata dwoje cieląt) powstaje „przeludnienie", a w związku z tem — brak paszy. Następują więc dalsze wędrówki w poszukiwaniu nowych ostoi.

Na rozwój poroży wpływa przedewszystkiem różnorodna pasza i warunki klimatyczne. Jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że łopaty dobrego kanadyjskiego łosia ważą zawsze ponad 25 kg, nasuwa się pytanie, z jakich roślin uzyskuje łoś taką ilość związków wapiennych i kwasu fosforowego, potrzebnych do rozwoju jego rosoch. Rośliną tą jest przedewszystkiem wierzba (łoza), która pod wpływem pierwszych promieni wiosennego słońca wypuszcza „kotki" i listki, zawierające dużo rozpuszczonych tych właśnie związków i takie tylko pożywienie wpływa najlepiej z pośród wszystkich innych na dobre kształtowanie łopat, przyczem pożywienia tego, zwłaszcza w okresie rozwoju rosoch, nie może łosiom brakować. Gdzie wierzby jest poddostatkiem, tam łosie mają najlepsze rosochy. Zadaniem nietylko hodowców łosi, lecz również dbających o dobry rozwój poroży jeleni i sarn, winno być dostarczenie we wczesnej wiośnie zwierzynie jaknajwiększej ilości paszy naturalnej w postaci wierzby (łozy) i innych gatunków pokrewnych.

W dawniejszych czasach, przy dobrych warunkach rozwoju, posiadały również i europejskie łosie rosochy niegorsze od kanadyjskich. Świadczą o tem chociażby wykopaliska rosoch z okresu dyluwjalnego, lub nawet przedhistoryczne, które w zupełności odpowiadają dzisiejszym rosochom łosi kanadyjskich. Można jednak przypuszczać, że łosie kanadyjskie w tym okresie mia-

ły jeszcze potężniejsze poroża. Różnica między rosochami łosia europejskiego i kanadyjskiego leży w tem, że ten ostatni posiada silną łopatę przednią z trzema lub pięcioma pasemkami, która jest wyraźnie oddzielona od łopaty tylnej. Naturalnie łopata ta może być często bardzo wyraźnie oddzielona, lub też zbliżona do rosoch łosi europejskich. Z drugiej strony — przednie łopaty łosi europejskich nie są tak ukośnie ustawione i są mniejsze.

Istnieje przypuszczenie, że europejski łoś zaaklimatyzowany w Kanadzie osiągnąłby równie silne poroża, jak łoś kanadyjski. Ciekawe jest zjawisko, że łoś, należący do rzędu dwukopytnych przeżuwaczy, do rodziny jeleniowatych, a do grupy pełnorogich, pomimo tak szerokiego rozpowszechnienia na kuli ziemskiej, nie posiada wielu odmiennych rodzajów, a różni się tylko geograficzną rasą. Istnieją różne co do tego przyczyny. Po pierwsze prastary łoś był bardzo mało skłonny do mutacji, czyli zmiany cech dziedzicznych, po drugie zaś obszar rozmieszczenia łosia pozostaje w bardzo zbliżonych warunkach klimatycznych i pomimo to, że łoś przedsiębrał kiedyś dalekie wędrówki, rzadko zatrzymał się w odmiennym klimacie, w którym każdy rodzaj zwierzyny skłonny jest do szczególnych przeobrażeń formy.

Naturalnym pokarmem łosi są pędy młodych drzew liściastych, a szczególnie wierzby, topoli, brzozy, lipy i osiki. Pozatem zaś za pożywienie służą mu krzewy, roślinność wyrastająca na bagnach, pędy, liście i wreszcie kora wszystkich niemal drzew liściastych, zboża, trawy, mchy i porosty. To też obszar jego występowania obejmuje cały niemal pas zasięgu drzew liściastych: początkowo więc — cały pas leśny wokół bieguna północnego. W Europie zachodniej łosie wyginęły już prawie doszczętnie. Dziś znajduje się łoś na Syberji w liczbie około 40.000, w Rosji europejskiej — około 4.000, w Szwecji — blisko 30.000, w Norwegji — 2.500, w Polsce 1.500, w Prusach Wschodnich—1.000. Pozatem w krajach bałtyckich: Finlandji, Estonji, Łotwie, Litwie.

W Ameryce Północnej południowa granica rozmieszczenia łosia przebiega w pobliżu granicy Kanady, a w niektórych miejscach, jak np. Rocky Mountain, łosie odbywają częste wędrówki dalej na południe. Zaludniona jest tylko południowa część tego od oceanu do oceanu sięgającego obszaru rozmieszczenia łosia, północne zaś lasy stanowią ich spokojną ostoję.

Amerykański łoś, nazywany przez tamtejszych myśliwych „Moose", zaliczany jest do dwóch ras geograficznych, kanadyjski do *Alces americana americana* Cliton i olbrzymi z Alaski do *Alces gigas* Miller. Prócz tego istnieje jeszcze rasa *Alces alces shirasi* w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Do najsilniejszych zaliczany jest łoś z półwyspu Alaska, drugie miejsce zajmuje kanadyjski, trzecie — syberyjski. Rekordowy łoś świata znajduje się w muzeum narodowem w Chicago. Jego rozłoga posiada 194 cm, długość łopat — 108 cm, szerokość łopaty — 23 cm, obwód róży — 22,8 cm, liczba pasemek — 32. Najpotężniejszy łoś, upolowany w Kanadzie w Nowym Brunszwiku w roku 1916, posiada 176,8 cm rozłogi, 72 cm — długość łopat, 25 cm — szerokość łopat i 17,8 cm obwód róży. Liczba pasemek — 32.

W masie ciała łoś kanadyjski jest niewiele silniejszy od europejskiego i waga jego nie jest tak wielka, jak to wielu myśliwych twierdzi. Łoś pochodzący z Alaski według amerykańskich badaczy waży 14 — 15 centnarów, przewyższa więc europejskiego znacznie, gdyż ten waży około 8 — 9 centnarów.

Maść łosi starego i nowego kontynentu jest jednakowa. Bywa czasem nieco ciemniejsza lub jaśniejsza, przyczem badyle bywają często całkiem białe lub szare. Podobnie jest z kształtem ciała. Różnicy zauważyć nie można ani z fotografji, ani w terenie, lub zagrodzie.

Łosze kanadyjskie cielą się w maju i czerwcu każdego roku, a więc prawie w tym samym czasie, co i europejskie. W maści urodzonego cielęcia nie można odróżnić od naszego europejskiego. Do roku osiągają młode wysokość 1,35 m, po 2 latach — 1,70 — 1,80 m, łosze nieco mniej. W następnych latach wzmacniają się one tylko na ciele. Rosochy kanadyjskich łosi rozwijają się bardzo prędko. Roczniaki mają już małe łopaty. W drugim roku po 10 — 12 pasemek, w trzecim — 14 — 16 i w czwartym są już osiemnastakami o rozłogach około 1,0 — 1,15 m. Rozrost rosoch u łosia europejskiego następuje znacznie wolniej, a mianowicie: łoszuk dostaje w 8 — 9 miesiącu życia guzy podskórne na czaszce, które wolno wyrastają w pnie, a dopiero w 2 roku życia wydaja małe parostki, ocierane przez łosia tej samej jesieni. Pasemka dostają dopiero w czwartym roku w liczbie 3—5. Liczba ta zwiększa się z każdym rokiem, tak że w 9-ym roku mają po 10 — 12, w 10-ym 12 — 14 i tak trwa do 15 roku życia, kiedy są u szczytu swego rozwoju i po którym następuje okres cofania się (wstecznictwa).

Nadzwyczaj często u kanadyjskich łosi spotyka się spróchniałe pasemka, tylna część łopat bywa krucha i nie posiada dobrej formy. Powstaje to bądź wskutek braku odpowiedniej paszy, zawierającej związki wapienne i kwasy fosforowe, bądź wskutek chorób, okaleczeń i t. p.

Najbardziej sprzyjające warunki rozwoju znajduje łoś na Alasce. Świadczy o tem chociażby jego olbrzymi rozrost, który sięga 2.15 — 2.20 m. wysokości. Półwysep Kenai i wybrzeża Alaski mają temperaturę sprzyjającą i rośliny udaja się tam szczególnie dobrze. Obszar rozmieszczenia łosia leży w swej geograficznej szerokości w Kanadzie nie dalej na północ, jak w Szwecji. Pożywienia szuka łoś kanadyjski nietylko na równinach, mokradłach i wyżynach, lecz wspina się on doskonale w góry, ponad granicę zasięgu drzew, gdzie rosną skarłowaciałe wierzby i brzozy, ponad 2.300 m. Że umie on doskonale pływać, że chodzi dobrze po bagnach i trzęsawiskach, to jest znane, lecz z jaką lekkością i jak szybko uwija się po skalistych górach, po stromych urwiskach, to naprawdę jest nadzwyczajne.

Z tych względów i polowania na łosie w Kanadzie są różnego rodzaju. A więc polowania górskie, przy których trzeba się wspinać bardzo wysoko. Ze szczytu gór można doskonale obserwować przez szkła każde poruszenie łosia i podchodzić go na odległość strzału. Prócz tego poluje się na nie przy pomocy psów gończych, z podchodu, z podjazdu końmi, lub czółnem na chłodzące się w wodzie łosie, na zasiadkę przy lizawkach, na wab i t. p.

Na Syberji polowania na łosie odbywają się w sposób pierwotny, nieetyczny, który polega na kopaniu dołów i zakładaniu zasieków, w które łoś wpada przypadkowo, lub jest napędzany. Zimą zaś często przy pomocy nart pędzone są całe stada łosi po wielkim śniegu, aż do wycieńczenia i padnięcia.

W lasach dziewiczych Kanady mogą się łosie doskonale ukrywać, a czynią to zwłaszcza stare, najbardziej przez myśliwych poszukiwane sztuki, które poza okresem rui rzadko ze swej kryjówki wychodzą *).

STEFAN MACKIEWICZ.

*) Lektura: L. Heck. Auf Urwild in Kanada.

Ś. P. ADAM PIASECKI

17 lipca 1938 r. opuścił na zawsze nasze grono jeden z najbardziej szlachetnych, piękno łowów głoszący i utrwalający, człowiek niepospolitego umysłu i charakteru, przed tron św. Huberta powołany, ś. p. Adam Piasecki, Dyrektor Biura Senatu Rzeczypospolitej.

Wspomina Go knieja Ladoska i żałuje, że już nie ujrzy więcej.

Rokrocznie od lat kilku zjeżdżał do niej na głuszcowe toki. Ostatni raz w 1936 r. Pogarszający się stan zdrowia nie pozwolił Mu już więcej oglądać poleskich ostępów.

Pobyt Jego w Ladzie pozostawił najmilsze wspomnienia. Wnosił On zawsze wrodzoną sobie subtelność, wysoką kulturę ducha i umysłu.

Szlachetny myśliwy, zamiłowany esteta, prócz doborowej broni i różnego sprzętu myśliwskiego, nieodłącznie woził i aparat, by utrwalać piękno poleskiej natury.

Wchodził w knieje z duszą i sercem szlachetnego nemroda-estety.

Wnikał w każdy szczegół budzącej się wiosny, zachwycał się tą „wiosną natury", wyszukiwał motywów nastrojowych, pięknych, a że ostępy poleskiej kniei są zawsze tak czarowne, tak przyciągające oko i serce każdego przybysza-myśliwego, cóż dopiero tak subtelnego nemroda jakim był ś. p. Adam Piasecki.

Myśliwy Ten wnikliwą swą duszą rozkoszował się wszystkiem, co do życia wiosną budzić się poczynało.

Pociągało Go, nastrajało to budzące się z zimowego letargu życie lasu.

Wsłuchiwał się w szmery, szelest, poszum wnętrza kniei, obserwując zmierzch i świt boru.

A kiedy gawędziliśmy o tem i owem, ś. p. Adam Piasecki wszystkiem się interesował, wypytywał o różne kwestje, z wsią i dworem kresowym związane. Poruszaliśmy zagadnienia społeczno-państwowe i wiele innych, a skoro przeszliśmy do tematu łowieckiego, zawsze z wielkim pietyzmem malował piękno łowisk poleskich, karpackich i innych porównując, doszukując się rzeczy istotnie pięknych, chwaląc czar łowiectwa i przyrody wielkiem wyczuciem i pięknym stylem.

W każdym ostępie potrafił z łatwością wyszukać motyw zaiste bardzo interesujący, o specjalnych walorach rodzajowych, wszak posiadał On tak subtelne poczucie piękna.

Nawet sosna, na której głuszec grał Mu pieśń swoją, ta sosna zrodziła w Jego duszy piękno wiążące — żywej i martwej natury. Ptak wielki, sosna, gałąź na tle budzącej się, wschodzącej zorzy, ten subtelny rysunek, jako motyw Jego okiem obserwowany i wyczuty, tworzył harmonję „cudów poleskiej kniei".

Do zagadnień i potrzeb łowieckich podchodził z najszlachetniejszej strony, podkreślając, że, chcąc w lesie coś zachować i utrzymać, należy las ten zawsze szanować i wydatną otoczyć opieką.

Uznawał, że nie ilość wystrzelonych jedynie nabojów, lecz racjonalny odstrzał, obserwacja, selekcja — dają właściwą satysfakcję myśliwemu. Ilość upolowanej zwierzyny, jej wybijanie, czem jedynie niektórzy myśliwi chwalić się lubią, nie była w Jego pojęciu chlubą, ale raczej piękne ustrzelenie, wypracowane zdobycie wartościowych trofeów, obcowanie z naturą żywą i martwą, winno być istotną zaletą dobrego myśliwego. Uważał, że nemroda szlachetnego miano nie zyskuje się przez samą ilość strzelania i ubijania, lecz raczej przez normowanie odstrzałów, ich prawidłowość, przez właściwy ludzki stosunek do tej zwierzyny, którą strzela się, by zaspokoić tę szlachetną żyłkę, tę pasję myśliwską.



Był to Nemrod wysokiej kultury. Opowiadał o wszystkiem treściwie i barwnie. To zaś co Go najbardziej przykuwało, to wyróżniał i utrwalał na kliszy.

Jakże piękne są Jego motywy z poleskich ostępów! Wszak pokochał Polesie swą wnikliwą duszą.

Wieleby opisywać trzeba o Jego szlachetnej postaci myśliwego-estety, z którym przemiłe wspomnienia przeżyć myśliwskich mnie łączyły. Wspomnienia te są zawsze żywe. Dwór i knieja Ladoska zatrzyma w trwałej pamięci Jego drogą osobę.

I znowu wiosny czar nadejdzie a Jego już zabraknie wśród nas na zawsze. I rozśpiewa się las: zagrają głuszce, rozbulgocą cietrzewie, zachrapią słonki i On tej pieśni lasu nigdy już nie usłyszy.

Będzie to pieśń prawdziwego żalu, jaką cała natura, którą tak kochał, a z nią i głuszce — królewskie te ptaki, o każdej zorzy wiosennej na Jego chwałę w Ladoskiej kniei rozśpiewają.

Cześć pamięci wielce szlachetnego Nemroda.

E. GIEDROYĆ.

Sprawozdanie

Z WYSTAWY LEŚNO-ŁOWIECKIEJ W BIAŁYMSTOKU OD 30.IV 1938 R. DO 15.V 1938 R.

Powiatowa Rada Łowiecka P. Z. Ł. w Białymstoku, działając z upoważnienia Białostockiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, zorganizowała dział łowiecki w ramach wystawy leśnej, urządzonej przez Siedlecką Dyrekcję Lasów Państwowych z okazji obchodu „Dnia Lasu" w dniu 30 kwietnia 1938 roku.

Idea regjonalnej wystawy łowieckiej została poparta przez Centralne Władze Polskiego Związku Łowieckiego dotacją pieniężną i nadesłaniem odpowiedniego materjału wystawowego.

Wystawa trwała od 30-go kwietnia do 15-go maja r. b. i mieściła się w lokalu Szkoły Powszechnej Nr. 1, przy ulicy Żwirki i Wigury. W sali gimnastycznej, której ściany wyłożone polerowaną dyktą z Państwowej Fabryki Dykt w Dojlidach, w artystyczny sposób rozstawiono eksponaty przemysłu ludowego. Najlepsze miejsce zyskał dział łowiecki. Delegatom Powiatowej Rady Łowieckiej udało się przekonać pozostałych członków Komitetu Wystawowego, że centralnym punktem zainteresowania dla zwiedzających będzie właśnie dział łowiecki. Wykazując zrozumienie dla postulatów łowieckich, Komitet Wystawowy nietylko ustąpił nam środkową, najlepszą ścianę sali, lecz również dodatkowo przydzielił nam stojącą naprzeciw wewnętrzną ścianę i ofiarował całkowity materjał stoiskowy. Gorliwym protektorem był Starosta Powiatowy białostocki, p. K. Szagon, któremu jeszcze i na tem miejscu należy się specjalne podziękowanie.

Apel Białostockiej Rady Łowieckiej do pp. Łowczych i Podłowczych przebrzmiał niemal bez echa. Jedynie Łowczy z Grodna, płk. M. Niedźwiedzki, nadesłał starannie wykonaną mapę zwierzostanu powiatu grodzieńskiego, oraz Łowczy Powiatowy z Łomży, inż. K. Komierowski — również mapę zwierzostanu powiatu łomżyńskiego, lecz niestety, obydwie te mapy nadeszły zapóźno, bo już po otwarciu wystawy i przez to nie zostały na wystawie umieszczone. Pozatem za staraniem Łowczego powiatu wołkowyskiego, nadleśniczy A. Kreutzer nadesłał szereg doskonałych eksponatów z ordynacji Roś.

Urządzeniem wystawy zajęła się Powiatowa Rada Łowiecka

w Białymstoku, z Łowczym Powiatowym inż. St. Sułockim na czele; pomocnikami jego i głównymi wykonawcami całej wystawy łowieckiej byli Podłowczowie płk. M. Kawelin i inż. J. Babiński; mapę zwierzostanu wykonano pod kierownictwem inż. W. Krogulskiego, wiceprezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej; wykresy, o których mowa poniżej, wykonali uczniowie Państwowego Gimnazjum Mechanicznego pod kierunkiem inż. J. Babińskiego.

Wystawę, którą otworzył Wojewoda białostocki, Henryk Ostaszewski, zwiedziło zgórą 6000 osób, w tym cały szereg wycieczek szkolnych. Objaśnień w dziale łowieckim udzielali członkowie Komitetu Wystawowego oraz Łowczy powiatu prużańskiego inż. K. Bergfried.

Z pośród całego szeregu wartościowych eksponatów, specjalne zainteresowanie budziły: olbrzymi łeb łosia — własność Starosty Powiatowego sokólskiego, p. Czachowskiego; łeb żubra, 4 kapitalne wieńce jeleni i tarcza z parostkami sarniemi, należące do Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży; szable dzika, nagrodzone pięcioma medalami — własność p. A. Kreutzera z ordynacji Roś; szereg nader pięknych skór wilczych pp. Gierasimowa, Głuchowskiego, Kawelina, Rakowskiego; doskonałe głowy dzicze i wilcze, nadesłane przez szereg myśliwych, w tem najlepsza od p. Głuchowskiego.

Z pośród wystawionego ptactwa — wzrok przykuwała śliczna kolekcja bataljonów, zebrana przez p. dr. Fiedorowicza i ładny zbiór różnorodnych kaczek — własność zamiłowanego ornitologa p. dra Salmanowicza. Z rzadszych okazów wymienić należy: orła — wł. p. dra Kosińskiego, skrzekota p. Miroszniczenki i jastrzębia syberyjskiego p. Łowczego Sułockiego.

Uzupełnieniem trofeów myśliwskich na głównej ścianie była b. liczna kolekcja broni, żelaz i wnyków, odebranych kłusownikom i znajdujących się w archiwum województwa. Już nader pobieżny rzut oka wystarczy do stwierdzenia, że kłusownicy rozporządzają nietylko najprymitywniejszą bronią domowej roboty, czy też obciętemi lub przerobionemi karabinami. Widzimy bowiem również bezkurkowe fuzje i sztucery, a trzeba przecież pamiętać, że najlepsza broń znajdzie odrazu amatorów na sprzedażach z licytacji.

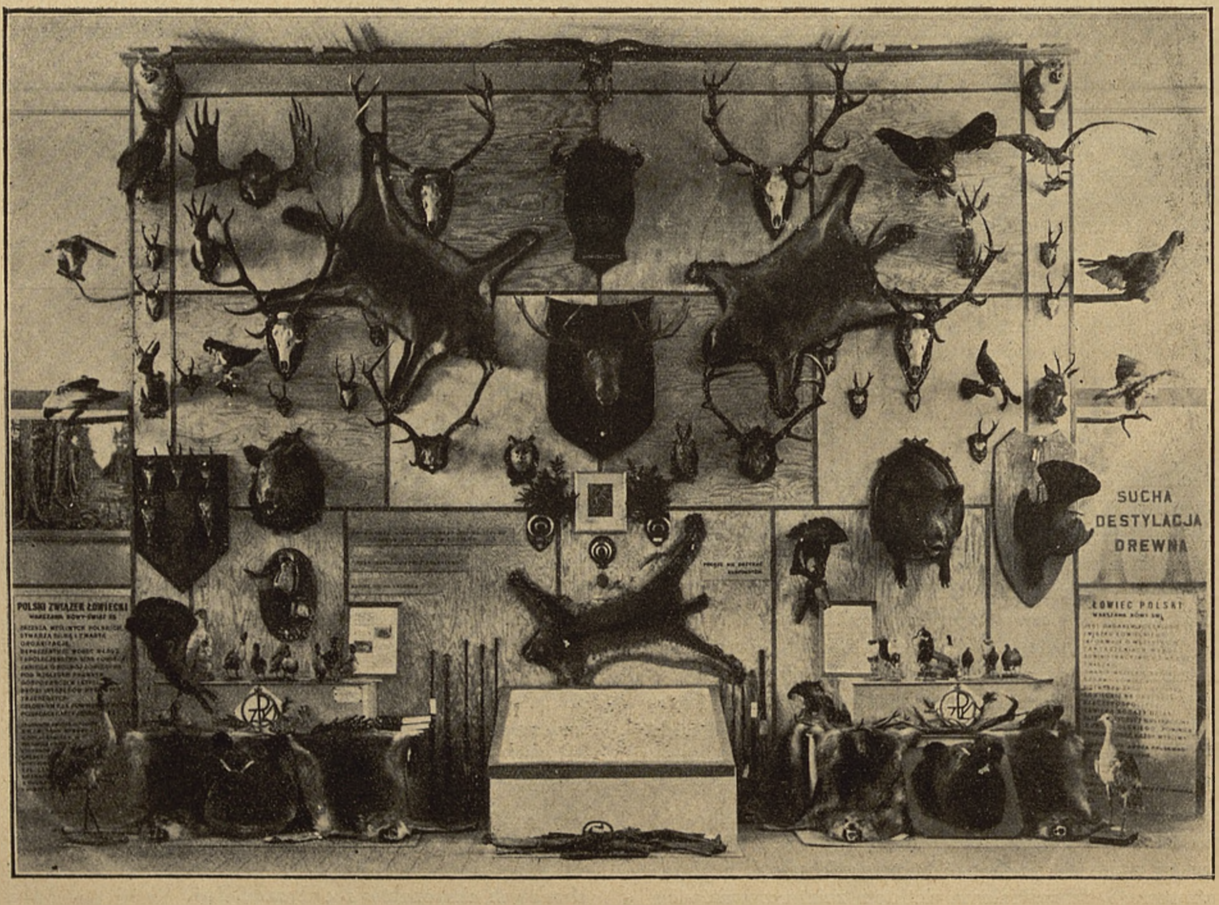
Bardzo ciekawe zestawienia widzimy na przeciwległej, mniejszej ścianie. Na pierwszej od góry z lewej strony mapie województwa białostockiego uwidoczniono stosunek zarejestrowanych obwodów łowieckich, do ogółu powierzchni danego powiatu. Zjawisko nader charakterystyczne: im większy procent zarejestrowanego obszaru, tem większe zagęszczenie zwierzyny. — Na tej samej wysokości, po prawej stronie ścianki umieszczono wykresowo ujęte zestawienia liczby członków Polskiego Związku Łowieckiego w poszczególnych powiatach i w odniesieniu do ogółu myśliwych danego okręgu. Materjał nader pouczający i zachęcający dla panów Łowczych Powiatowych.

Trzecie zestawienie — to wykres spraw o kłusownictwo i wysokość kar, lecz niestety, tylko w odniesieniu do Białegostoku, gdyż danych z innych powiatów nie można było na czas otrzymać. A wielka szkoda, bo ciekawe byłoby zestawienie zapatrywań poszczególnych sędziów na sprawy kłusownicze.

Czwarte, a zarazem najciekawsze zestawienie wykazuje: ilość spraw administracyjnych za kłusownictwo, które w 1937 roku były rozpatrywane w Starostwach.

Na pierwszem miejscu pod tym względem stoi Starostwo szczuczyńskie. Nie oznacza to, że plaga kłusownictwa występuje najsilniej w powiecie szczuczyńskim. W rzeczywistości obserwujemy zjawisko wręcz odwrotne. Zestawienie to wykazuje jedynie stopień zainteresowania władz sprawami łowieckiemi. Na specjalne podkreślenie zasługuje działalność Starosty powiatu szczuczyńskiego, p. Sardeckiego oraz Starosty powiatu białostockiego, p. K. Szagona.

Prawdopodobnie rok bieżący będzie przełomowym dla spraw łowieckich województwa białostockiego, gdyż obecny Wojewoda, p. H. Ostaszewski nader życzliwie patrzy na sprawy łowieckie, a przecież, jako Starosta w Kaliszu zostawił po sobie doskonałą pamięć znanym okólnikiem z 1935 roku do wójtów i sołtysów, grożąc im rygorami za bezczynność w wypadku niezmniejszenia się ilości pogwałceń praw łowieckich.



Z wystawy leśno-łowieckiej w Białymstoku (30.IV—15.V 1938 r.).



JESZCZE O GREY OWL'U.

W 23-im numerze „Łowca Polskiego" z bieżącego roku jest zamieszczona wzmianka o Grey Owl'u, zatytułowana „Niebezpieczna lektura". Autorem jej jest p. Ludwik Radyński.

Ponieważ o Grey Owl'u w „Łowcu Polskim" tylko ja pisałem i tylko ja na łamach naszego pisma zachęcałem czytelników do propagowania książek tego czarownego Indianina, czuję się w obowiązku wtrącić kilka nowych uwag w sprawie, poruszonej przez p. Radyńskiego.

Już sam przypisek Redakcji dał wyraz zdziwieniu, jakie ogarnąć musi czytelnika, po przeczytaniu wzmianki p. Radyńskiego, który książki Grey Owl'a nazywa aż „niebezpieczną lekturą".

Autor wzmianki boi się, by myśliwi po przeczytaniu „Pielgrzymów Puszczy" nie przestali polować. A cóżby się zresztą tak wielkiego stało, gdyby kilku myśliwych zawiesiło strzelby na kołku. Dziura w niebie nie powstałaby z tego powodu, ani łowiectwu polskiemu nie stałaby się żadna krzywda.

Sam czytałem Grey Owl'a z zapartym oddechem, byłem oczarowany jego książkami, jego myślami, całą jego postacią. I dalej jestem myśliwym — i dalej korzystam z każdej okazji, by zapolować.

Byłem myśliwym, który na szczęście dostrzegał piękno przyrody na każdym kroku i to piękno chciałem i chcę nadal ochraniać i zachowywać. Ale ilu jest myśliwych, dla których istnieje zwierzyna tylko jako objekt strzału? Dla wielu jeszcze udział w polowaniu jest przejawem pewnego rodzaju snobizmu. Może tacy, po przeczytaniu Grey Owl'a, przestaną polować, może otworzą na się oczy, że sieją lekkomyślnie śmierć. Bo my myśliwi, jeśli chcemy, by zasłużyć na to miano, w najwyższem tego słowa pojęciu, musimy zdać sobie sprawę z tego, że polując— z a b i j a m y.

Nikt mnie nie posądzi o to, że jestem przeciwnikiem polowania. Lecz z całą świadomością pozornej tylko niekonsekwencji napisałem poprzednie zdanie. Chcę bowiem propagowaniem książek takich, jak Grey Owl'a, odstręczyć pseudomyśliwych od bezmyślnego siania śmierci wśród zwierzyny. Myśliwy prawdziwy tego i tak nie robi.

Wolno nam myśliwym zabijać, gdyż wolno nam — ludziom — korzystać ze wszystkich darów Bożych, jakiemi są twory przyrody, ale możemy korzystać tylko z tych, które nam przynoszą pożytek. Wolno nam strzelać zwierzynę, ale tylko te gatunki, które bądź dostarczają nam mięsa, bądź skór k o n i e c z n y c h do wyrobów niektórych przedmiotów.

Pod żadnym pozorem jednak nie wolno nam zabijać dla samej przyjemności strzału. Nie wolno np. myśliwemu nie jedzącemu łysek strzelać do nich, ale innemu, któremu one smakują, strzał taki jest dozwolony *). I o to mi chodziło, gdy chwaliłem poglądy Grey Owl'a.

I jeszcze jedna rzecz. Nie wolno nam wybijać do nogi pewnych gatunków zwierząt, choćby nie wiem jak wartościowych, bo krzywdzimy samych siebie. Musimy dążyć do zachowania każdego gatunku zwierzyny w odpowiedniej ilości.

Grey Owl nie jest przeciwny polowaniu. Sam je mięso. Ale przeciwny jest bezwzględnie tępieniu gatunku dla korzyści materjalnych.

Dlaczego p. Radyński nie sprzeciwił się poglądom p. Zabiełły, wyrażonym w artykule o odstrzale drapieżników. Przecież — horrendum! Pan Zabiełło każe nam ochraniać rysie i wilki, zwierzęta, które tyle „krzywdy" wyrządzają ludziom i zwierzynie. Przecież czytając artykuł p. Zabiełły, nasuwa się odrazu ten sam pogląd, co Grey Owl'a, tylko w innej formie wyrażony.

Zresztą p. Radyński zdradza się z takiemi samemi poglądami w artykułach o pardwach i cietrzewiach. Dlatego zdziwiła mnie jego... napaść na Grey Owl'a.

Szanowny Autorze, pozwól, że dam Ci pewną serdeczną radę. Przeczytaj, proszę, raz jeszcze Grey Owl'a, ale bez uprzedzenia, zapomnij czytając, że jesteś myśliwym. Wejdź w położenie Szarej Sowy, który widział jak człowiek bestjalsko tępił i znęcał się nad bobrami. Może wtedy zrozumiesz jego intencje.

Wkońcu zechciej Szanowny Kolego „po piórze" nie mieć do mnie żalu za tych kilka słów, które o Twojej wzmiance napisałem, ale uczyniłem to dla dobra idei, którą obydwaj pokochaliśmy.

Jednak jeszcze jedna uwaga. Pan Radyński pisze, że mamy swego Bieniasza. Odsyłam Go do mych recenzyj książek tego ostatniego, zamieszczonych w „Łowcu Polskim". Wyrażałem się o nich w samych superlatywach.

A że mniej czytelników zdobył nasz Bienasz w Polsce...? Mój Boże! Egzotyzm ma szalony urok, Szara Sowa — to Indjanin — „dziki człowiek, piszący książki". Trudno, to bierze przeciętnego czytelnika.

W każdym razie raz jeszcze podkreślam: książki Grey Owl'a są cudowne, napisane są nietylko dla „ochroniarzy" ale i dla myśliwych.

Niedługo wyjdzie w druku trzecia jego praca p. t. „Ludzie z ostatniej granicy". Będę o niej pisał w „Łowcu Polskim" i wtedy raz jeszcze wrócę do Grey Owl'a, poglądów jego na łowiectwo i do różnych wiadomości, które niedawno obiegały prasę w związku ze śmiercią Szarej Sowy.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

*) Łyska jest szkodnikiem w rybołóstwie, a także nadmiar łysek powoduje ubywanie z tego terenu dzikich kaczek. (Przyp. red.).

Zwierzyna a komunikacja

Niezwykłe przerwy w komunikacji kołowej wywołuje niekiedy zwierzyna. Pierwszy taki wypadek miałem w roku bodaj 1910. Jechałem łącznie z kilkunastoma uczestnikami do Białowieży. Sześć konnych wózków w „dugach", posuwało się szybko przez wspaniały, tajemniczy las, po świetnej szosie, znaczonej białemi, kamiennemi mostkami. W pewnym momencie wózki stanęły. Droga była zamknięta przeszkodą nie do przebycia! Na środku szosy stał potężny samiec - żubr. Nie okazywał zresztą żadnych złych zamiarów, poprostu nie życzył sobie turystyki po puszczy. Krzyki leśników nam towarzyszących, ani nawet strzały z ich karabinów, nie zdołały odstraszyć władcy puszczy. Po kilkunastu chyba minutach odszedł z własnej chęci.

Już po wojnie, w roku bodaj 1918-ym jechałem jesienią, szosą kutnowską samochodem, z szybkością ca 80 klm. W pewnym momencie coś uderzyło w szybę samochodu, ułamki szkła zraniły szofera i... znaleźliśmy się w rowie. Na szczęście bez poważniejszej awarji i uszkodzeń. Okazało się, że winowajczynią była kuropatwa, która, przelatując nad szosą, uderzona została przez szybę samochodu, zbiła ją, a sama zmiażdżona znalazła się wewnątrz wozu.

Ostatnio w lipcu r. b. jechałem szosą na Gdynię, przez Modlin. Zaraz za Warszawą minął mnie w dużem tempie samochód. Zrobiłem uwagę do mego towarzysza podróży, że na mokrej szosie nie jeździ się z taką szybkością i że obawiam się czy w drodze nie trzeba mu będzie pomagać. Niedaleko, bo o 18 klm. od Rypina, w Urszulewskim lesie, proroctwo moje się sprawdziło! Samochód — nad rowem, a pasażerowie proszą o zatrzymanie się i pomoc. Staję i podchodzę z pytaniem — co się stało.

Zając! Jaki zając? Zając popsuł nam samochód!

Zachmurzyłem się, bo przecież wyraźnie ze mnie żartują. Wyjaśniło się po chwili, że nie były to żarty, lecz smutna rzeczywistość.

Samochód, jadący z szybkością ca 120 klm. na godzinę, uderzył przebiegającego przez szosę zająca. Rezultat tego uderzenia był fatalny! Chłodnica w strzępach, wiatrak chłodzący złamany i uszkodzony motor. I to wszystko uczyniło miękkie ciałko dosłownie zmiażdżonego zajączka.

Te trzy wypadki nasuwają refleksje dla automobilisty i wskazówkę, by w okolicach, obfitujących w zwierzynę, czy to drobną czy grubszą, nie rozwijali zbyt wielkich szybkości, gdyż grozi to nietylko śmiercią zwierzynie, ale w znacznym stopniu może zagrażać samochodowi i jadącym pasażerom.

Inż. KAROL ROTKEL.

SPRAWOZDANIE Z ZAWODÓW STRZELECKICH.

Dnia 29 czerwca 1938 r. odbyły się w Łucku zawody strzelecko-myśliwskie, urządzone staraniem Wojewódzkiej Rady Łowieckiej P. Z. Ł. w Łucku. Zawody te odbyły się na strzelnicy 24 p. p., przy wybitnem poparciu grona oficerów, którzy przyszli W. R. Ł. z pomocą w organizowaniu zawodów. Szczególne podziękowanie należy się P. por. Gozdalowi, który nie szczędził trudów i pracy, aby zawody wypadły jaknajlepiej. Dzięki jego i p. St. Madeyskiego pracy zawody doszły do skutku, gdyż czasu na urządzenie strzelnicy, na zebranie nagród, zawiadomienie myśliwych, było istotnie bardzo niewiele.

Nagrody ofiarowali: Woł. Woj. Rada Łow. 4, hr. Sumiński 3, p. Jackiewicz 1, p. Madeyski 1, Woł. Spół. Łowiecka 1, Woj Kółko Łow. 1, Kółko Łowieckie Leśników w Łucku 1.

Konkurencji strzeleckich było 5. Poniżej podaję najlepsze wyniki:

I. Strzelanie do rzutków:

1. p. Stanisław Torka 16/20, nagr. p. St. Madeyskiego (statua),
2. p. Piotr hr. Sumiński 13/20, nagr. p. Apolinarego Jackiewicza (barometr),
3. mjr. Ed. Chojecki 12/20, nagr. Woł. Woj. Rady Łowieckiej (popielniczka).

II. Strzelanie do stojącego rogacza:

1. por. Zbigniew Buyko 23/30, nagr. p. hr. Sumińskiego (rogacz z bronzu),
2. p. Stanisław Torka 20/30, nagr. Woł. Spół. Łow. (manierka),
3. mjr. Zygmunt Wałecki 16/30, dyplom.

III. Strzelanie do jelenia w biegu:

1. p. Stanisław Torka 12/15, nagr. Woj. Koła Łow. (pies z bronzu),
2. mjr. Edmund Chojecki 12/15, nagr. hr. Sumińskiego (jeleń z bronzu),
3. por. Zbigniew Buyko 11/15, dyplom.

IV. Strzelanie do podwójnego dzika w biegu:

1. p. Eustachy Świeżawski 22/30, nagr. Koła Myśl. Leśników (puhar kryształowy),
2. mjr. Edmund Chojecki 21/30, nagr. Tow. Łowieckiego w Łucku (zegarek).
3. mjr. Zygmunt Wałecki 20/30, nagr. Woł. Woj. Rady Łow. (statua).

V. Strzelanie do dzika pojedyńczego w biegu:

1. por. Zbigniew Buyko 12/15, nagr. Woł. Woj. Rady Łow. (statua żubra),
2. mjr. Zygmunt Wałecki 11/15, nagr. hr. Sumińskiego (statua dzika),
3. p. Michał Garapich 11/15, dyplom.

Za najlepszy wynik, osiągnięty w strzelaniu w 4-ch konkurencjach kulowych, otrzymał nagrodę Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej oraz zdobył Mistrzostwo Wołynia na rok 1938 P. por. Zbigniew Buyko, uzyskując wynik 63 punkty na 90 możliwych, przed mjr. Edmundem Chojeckim 57/90 i p. Stanisławem Torką 56/90.

Sędziowali na zawodach pp. Stanisław Madeyski, Piotr hr. Sumiński i niżej podpisany.

Zawody zgromadziły wiele publiczności, która z zainteresowaniem śledziła wyniki zawodów.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Z MIĘDZYNARODOWYCH ZAWODÓW W STRZELANIU DO RZUTKÓW.

Dowiadujemy się, że w rozgrywkach o mistrzostwo Europy i Świata w Luhacevicach (Czechosłowacja) ekipa polska w składzie: Kiszkurno, Łyskowski, Sztukowski i Ziegenhirte zajęła d r u g i e miejsce w konkurencji o mistrzostwo Europy. Szczegółowe sprawozdanie nastąpi.

P R Z E Z M I K R O F O N

W dniu 1 września r. b. o godz. 23-ej nadana zostanie przez warszawską rozgłośnię Polskiego Radja pogadanka myśliwska p. t. „Rykowisko w Karpatach", opracowana i wygłoszona przez P. Stanisława Hoppe.

Pogadanka nadana będzie w języku niemieckim dla wszystkich stacyj odbiorczych Rzeszy Niemieckiej.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

POWIAT ŁOWICZ, WOJ. WARSZAWSKIEGO.

Uprzejmie zapraszam na Walne Zgromadzenie P. Z. Ł., które się odbędzie w dniu 2 września r. b. o godz. 16 w sali posiedzeń Wydziału Powiatowego w Łowiczu według następującego porządku:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i 2-ch asesorów.
3) Sprawozdanie z dotychczasowej działalności.
4) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
5) Wybór Delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
6) Wnioski Powiatowej Rady Łowieckiej.
7) Wolne wnioski.

Walne Zgromadzenie będzie ważne w pierwszym terminie bez względu na liczbę obecnych, zgodnie z § 50-tym statutu P.Z.Ł.

WIKTOR PRZEGALIŃSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał **zł. 6;** za pół roku **zł. 12;** za rok **zł. 24;** miesięcznie **zł. 2.** Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE

Büchsflinta z lunetą 3x Sauer Sohn Suhl kurkowa, mało używana, lewa lufa kal. 16 prawa kulowa 9,3x74, strzał precyzyjny, sprzedam 300 zł. Dubeltówkę (eżektorkę) kal. 16 Halifix (franc) mało używaną sprzedam 250 zł. (nowa 800 zł.) B. Kociałkowski, Grabów Wlkp.

Dubeltówkę Purdey'a lub Hollanda w dobrym stanie kupię Oferty: Redakcja „Łowca Polskiego" pod „Amator".

Krótkowłosy niemiec dobrze ułożony w drugiem polu — sprzedam 250 zł. Roman Łuczak leśnik maj. Grabów nad Prosną.

Okazyjnie do sprzedania pointer angielski czystej krwi o wybitnych zdolnościach myśliwskich **„Marbiel-Gryf"** z rodowodami, biały z czarnem, lat pięć, zdobywca nagrody „derby", wieloletni zwycięzca prób polowych (pięć pierwszych miejsc). Cena zł. 1200. Wiadomość, właściciel J. Kieffer, Warszawa-Praga, ulica Terespolska 22 m. 16 telef. 10-15-27.

Półroczne rasowe krótkowłose wyżły niemieckie z pełnemi rodowodami po doskonałych psach tanio do sprzedania; psiaki już wystawiają. Kutno-Mnich Tadeusz Abramowicz.

Skrzyneczki specjalnie przeznaczone do przesyłania części padłej zwierzyny, w celu zbadania choroby, do nabycia w Administracji „Łowca Polskiego". Cena zł. 2.—

Sprzedam pięć ładnych, młodych puhaczy, po 65 zł., z przesyłką. Kieniewicz, p. Bereźne n/Horyniem, Górki.

Springer-spaniele szczenięta, z psiarni „Lwa" ks. Izabelli Radziwiłłowej, będą do odbioru od 1-go listopada. Zamówienia naprzód konieczne. Cena zł. 200. Mankiewicze, poczta Stolin.

Spółka Łowiecka w Brąszewicach (pow. sieradzki) wydzierżawi swój teren łowiecki o obszarze 1262 ha na następujących warunkach: 1) Dzierżawca może urządzić roczjedno polowanie z naganką na zające. Polować pojedyńczo („na pomyka") nie wolno. Nie dotyczy to polowania na kuropatwy. Przytem zastrzega się, że polowanie nie może mieć miejsca w niedziele i święta. 2) O dzierżawę ubiegać się mogą tylko ci, którzy mają prawne kwalifikacje. 3) Polowanie wydzierżawia się na 6 lat. 4) Dzierżawcą polowania zostanie ten, kto da najwyższą cenę, nie niższą jednak od 150.— zł. rocznie. Tenuta płatna będzie zgóry co rok. 5) Termin ubiegania się o powyższą dzierżawę upływa z dniem 7-go września b. r. 6) Przyjazd do Brąszewic nie jest konieczny, wystarczy zgłoszenie się pisemne.

Strzelba „bock" kal, 12 Defourny-Sevrin, pięknie wykonana, z doskonałym strzałem, okazyjnie do sprzedania. „Łowiec", Widok 12.

Strzelec-bażantarnik z praktyką poszukuje posady. Adres: Dopierała p. Jeziorki Zabartowskie.

Zarodowa hodowla setterów laveracków sprzedaje wybitnie rasowe szczenięta, po doskonałych polnych rodzicach, w cenie 40 zł. za sztukę. Nadleśnictwo Wólka Klesowska, poczta Klesów, pow. Sarny.